

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 26 lutego 1956 r.

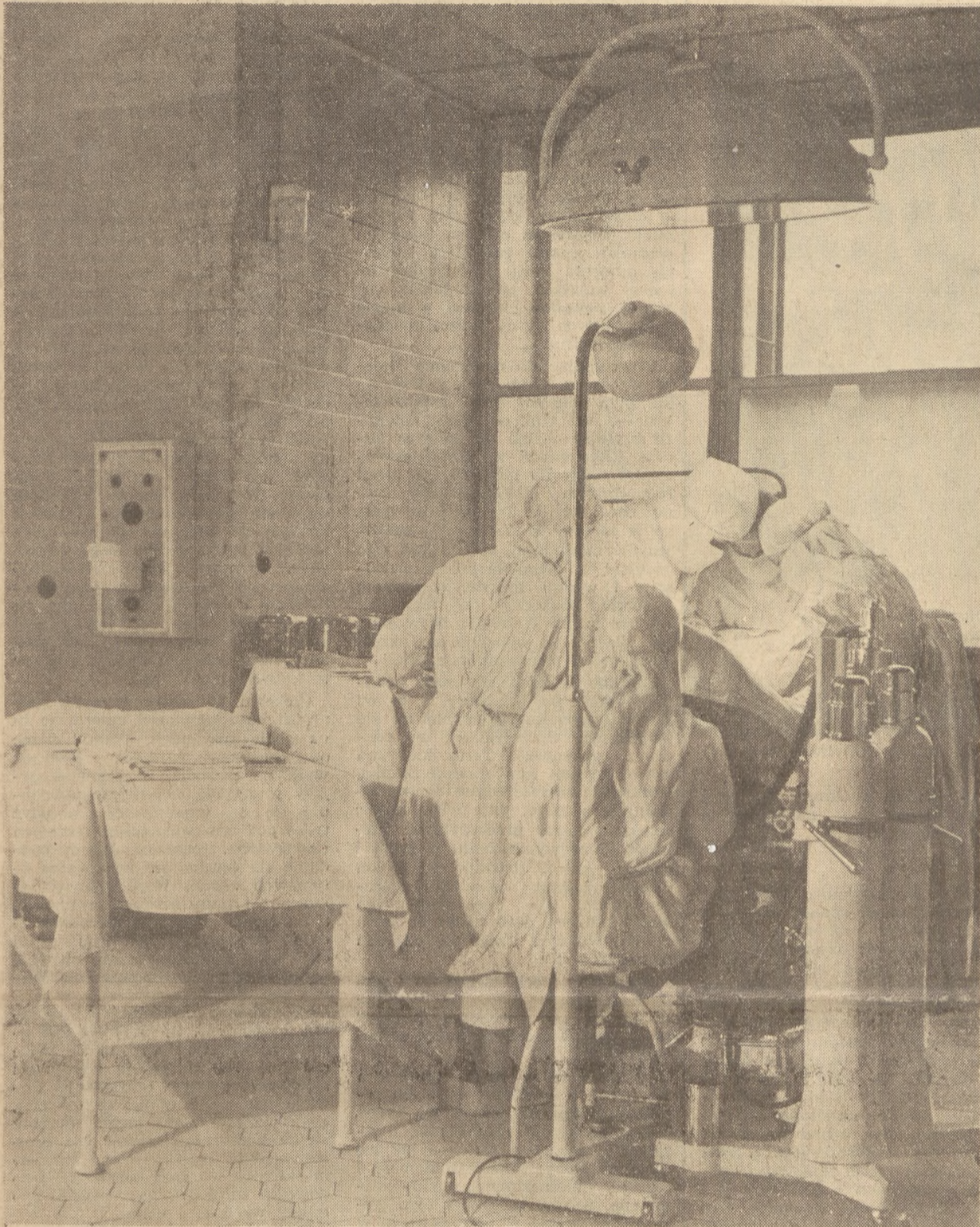


CIV 9013

Nr 8 (534)

WŁADYSŁAW LECH TERLECKI

W SZPITALU



Fot. B. Malmurwicz

NISKI, krępy mężczyzna o bardzo przenikliwych, badawczych oczach. Kiedy patrzy spoza szkieł na swojego rozmówcę, odnosi się wrażenie, że jest to spojrzenie pełne delikatnej zgrzyźliwości. Od czasu do czasu mężczyzna wstaje ze swojego miejsca za biurkiem, wkłada ręce do kieszeni spodni, robi kilka kroków w stronę okna, pochyla się nad czarnym pudłem belkoczącego jazzotliwą jazzową muzy-

ką dużego aparatu. Później patrzy przez okno, podchodzi znowu do zasłanego łóżka i wreszcie siada za biurkiem. Rozmawiamy, palimy papierosy, słuchamy radia i opowiadanych kawałów. Nic z nerwowej, pełnej napięcia atmosfery, która musi panować w każdym szpitalu. Szpital zaczyna się dopiero od korytarza: poczekalni, gabinetów lekarzy, ciasne pokoiki dyżurne, w których prze-

siadują w wolnych chwilach pielęgniarce i pielęgniarki, sale z rzędami łóżek i wreszcie drzwi z dużym, krzyczącym napisem: SALA OPERACYJNA... Ostry dyżur w wielkim, milionowym mieście. Godziny odmierzone na wielkim zegarze wolno, z całym upornym namaszczeniem. Na wystawionych w korytarzu łóżkach leżą chorzy. Pierwsze z tych łóżek (stojące najbliżej drzwi

z białą tablicą) zajął stary, okrutnie pomarszczony człowiek. Ten śpi. Chude, szkieletowate ręce leżą na koldrze. Wystarczy jeden rzut oka: taki sen musi być zapowiedzią czegoś najbardziej nieodwracalnego. Dalej, na wygodnie ułożonych poduszkach leży młoda kobieta. Trzyma w rękach czarną, stielonową torbę i szeroko otwartymi oczyma patrzy w stronę zamkniętych drzwi. Łóżko stoi naprzeciw pisuaru. Jeszcze jedno, takie samo, jeszcze jedna zmęczona twarz, potem następne. Korytarz jest dzisiaj wypełniony. Ostry dyżur.

Krępy mężczyzna nakłada fartuch, obrzuca mnie swoim odrobinę zgrzyźliwym spojrzeniem. Radio brzęczy nadal niewyraźną, irytującą melodią. Wystarczy zamknąć na moment oczy, żeby przeniesić się do jakiegoś zadymionego lokalu, w którym nad czarną kawą gwarzą o poezji i klipsach przyjaciele i znajomi. Ostatecznie to jest przecież bardzo blisko. Kilka ulic w bok, dwa, trzy przystanki tramwajowe i można być już jak najdalej od tego przesiąkniętego eterem pomieszczenia...

— Nudzi się pan? — krępy mężczyzna siada na łóżku i zapala papierosa. — A może chciałby pan coś zobaczyć?...

Zakłada teraz nogę na nogę i obserwuje mnie z całą satysfakcją starożytnego wygi. Jakby myślał: „Ciemna maso, co ty z tego wszystkiego możesz zrozumieć?...”

Wkładam notes do kieszeni i wytrzymując badawcze spojrzenie lekarza mówię w miarę najobojętniej: — „Trochę nudno. Nie tak, jak na ostrym dyżurze...” (Nie, nie — to nie jest żadna aluzja do teatralnych wzruszeń).

Do pokoju wchodzi uśmiechnięty młody blondyn w okularach. Jest w białym kitlu i ma bardzo delikatne, białe ręce.

— Coś takiego? Pan się nudzi? — Może zobaczy pan jakiś mały zabieg? Wiadomo — na ostrym dyżurze takich małych jest najwięcej. Na przykład pokiereszowana główka. Cegła. Widać facet nie chciał kupić jednej cegły. Ta dzisiejsza chulliganeria, proszę pana, jest bardzo nietaktowna. Utrudnia nam pracę. Dwa dni przypożono na ostry dyżur gości z główkami rozbitymi łomem. To było coś innego. Łom nie zostawia żadnych odprysków, ale cegła...

Mężczyzna siedzący na łóżku macha ręką.

— Daj spokój. Skoro pan trafił na oddział chirurgiczny, to trzeba pokazać coś atrakcyjniejszego. Przejdziemy do sali obok.

Obaj mężczyźni poważnieją. Nakładam fartuch, maskę i za chwilę

ciepły pokój z jazzem pozostaje gdzieś w tyle. Otwierają się sąsiednie drzwi.

TO nie jest żadna specjalna operacja. Żadna historia ze zranionym sercem, czy jakiegoś poważniejszego wycięcie jelit. Zwykły wyrostek. Co to znaczy dla rutynowanego, znającego własną sztukę chirurga...

A przecież każda operacja, nawet z najmniejszym ryzykiem jest podobna. Nawet bardzo podobna. (Jeden ze znanych lekarzy powiedział mi kiedyś: „Każdy chirurg ma na swoim sumieniu kilka tragicznych operacji. Nigdy nie wiadomo z góry, która może się nie udać. To jest smutna prawda. Po takim wypadku trzeba wiele sił, żeby się przemoc, żeby wytłumaczyć sobie, że mimo wszystko trzeba pracować dalej...”).

Dwie pochylone sylwetki w białych fartuchach, maskach i gumowych rękawiczkach. W rogu sali, poza obrębem światła z wielkiej operacyjnej lampy, stoi anestezjolog. Nie wiadomo, czy nawet przy takim „drobnym zabiegu” nie przyda się narkoza.

Białe przesćieradła. Mała, odkryta plama ciała.

— Niech pan się nie boi. Teraz tylko znieczulamy.

Skrzywiona twarz chłopca wykonuje kilka potakujących ruchów. Może najbardziej nieprzyjemny jest pierwszy moment. Szereg silnych, krótkich, ale głębokich ukięć. Stopniowo duża strzykawka opróżnia się tworząc na odkrytym paśmie ciała szybko ginące wypukłości. Dwa chirurgowie odchodzą na chwilę na bok. Niespokojnie, rozbiegane oczy pacjenta. Ten moment trwa krótko. Za chwilę szybko wbita w ciało igła nie przynosi operowanemu silniejszego bólu. Skalpel. Lśniące w ostrym świetle cięcie otwiera ciało. Starszy z dwu operujących lekarzy odwraca głowę w stronę stojącej obok siostry.

— Koagulacja.

Tymczasem z otwartej rany wartką strużką ścieka krew. Wata. Dużo waty ocierającej krwawiące ciało. Wreszcie jest noż. Cały skomplikowany aparat. Charakterystyczne, ciche szczypanie prądu. Przyrząd zakończony długim sznurem wykonuje w rękę chirurga kilka ruchów. Koagulacja służy do zlepiania ścianek naczyń krwionośnych. Trzask aparatu połączony z ciepłym świedem spalonego ciała. Teraz można zacząć najważniejszą część operacji. Pacjent ma zamknięte powieki i mocno zacisnięte wargi. Powoli otwierają się drzwi i do sali wsuwa się ostrożnie niska postać krępego mężczyzny.

Zaraz na początku krępy mężczyzna ustawił mnie w pobliżu dużej bułki z tieniem i wyszedł na palcach do swojego pokoju. Teraz zatrzymuje się w pobliżu stołu i obserwuje ręce operujących. Od czasu do czasu, któryś z chirurgów podnosi głowę i patrzy w stronę kolegi. Ten rosły grubas w okularach (spozna maski widać tylko jego czarne oczy) jest asystentem. Grubas — jak informował mnie przedtem krępy mężczyzna — to młody, ale już doświadczony, dobry operator. W tej chwili jego rola polega na obserwacji i gotowości do przejęcia trudniejszego fragmentu operacji we własne ręce. Jego młodszego kolega ma groźnie zacisnięte brwi. Na dużym czole szereg drobnych kropek potu. Jakaś krótka przerwa. Instrumenty wędrują do rąk siostry. Znowu porozumiewawcze spojrzenie i wreszcie grubas w okularach zwraca się w stronę anestezjologa.

— Narkoza.

Krępy mężczyzna kiwa ręką w moją stronę.

SIEDZIMY naprzeciw siebie i słuchamy radia.

— Widział pan te łóżka na korytarzu?

— Pada pierwsze, zapowiadające narzeczcie coś bardzo ważnego, krótkie, na pozór obojętne pytanie.

— Bo, widzi pan, to jest bardzo charakterystyczne. Polacy lubią kawiarnie. Można powiedzieć — bardzo lubią kawiarnie. Pan też lubi przejść się na małą czarną, prawda?

Znowu kąśliwy, ironiczny uśmiešek. Ale zaraz później twarz krępego mężczyzny staje się surowa. Ziłka ciała przypadkowa poza.

— Czy wie pan, że w milionowym mieście nie wybudowano od kilku lat żadnego nowoczesnego szpitala... Niech pan przeliczy ilość otwartych w ciągu tych kilku lat w Warszawie kawiarni. A czy wie pan, że oddział, w którym się pan teraz znajduje nie był remontowany od 1951 r.??? Polacy bardzo lubią pić kawę... Zna pan na pewno historię nowego szpitala na Bielanach. Pisało się o tym swego czasu dosyć dużo. Jeszcze jedna, tak bardzo potrzebna w tym mieście inwestycja. Szpital miał być uruchomiony w grudniu 1955 roku. Nie wiadomo, czy będzie uruchomiony w tym roku. Oczywiście skutki takich historii są łatwe do zaobserwowania. Łóżka na korytarzach, brud... Czy można utrzymać w idealnej czystości choćby jeden oddział szpitala, kiedy poprzednie jego odświeżenie dawno już dałoby wziąć? Warszawa lubi być reprezentacyjna. Tyle mamy nowych inwestycji, prawda?

(Dokończenie na str. 6)

SPOTKAŁEM go znowu, tak jak się spotyka starych, do- brych znajomych. Teofil przyszedł do mnie w wysokiej gimnazjalnej czapce; brodę ocienioną miał sztywnym i ogromnie wysokim kołnierzem mundurka. Dcpiero na widok tej staroświeczyny, znanej mi dobrze z rodzinnych fotografii, uprzytomniłem sobie, że Teofil, gdyby żył dłużej i miał dzieci, mógłby zostać moim ojcem.

To z woli autora pozostał niezmienny, wciąż młody, i dokładnie widzę w tej chwili „jego twarz ogorzałą, cień wąsów i jakby już męską twardość spojrzenia”. To z woli autora został zaklęty w miejscu, gdy pochyla się nad nim „kucywnik czasu otwierający wrota nowemu Eonowi”, dalsze bowiem tomy jego żywota nie zostały spisane, więc nie istnieją, jak nie istnieje to, czym się nie można nasycić.

Przyszedł więc jak zawsze dosyć nieśmiały, oparł się ręką o stół, przysiadłszy „ton niedbaly”, używał zdań prostych i nie wychodzących poza język potoczny, tak jak wtedy, gdy na Wysokim Zamku grupę spiskowców nakrył książd Grozd.

Mówi do mnie: — Nie powinienes się dziwić, że przyszedłem. Przecież zawsze żyłem w tobie. Byłem częścią twego niepokoju, a właściwie nasz niepokój jest wspólny. — Patrzę na Teofila i myślę: „Czy nasz niepokój jest wspólny? Cóż my mamy wspólnego z tym chłopcem odległym o blisko pół wieku, dwie wojny światowe i na pewno gruntownie od nas odczytanym? Mówię, ważąc każde słowo, bo zależy mi na tym, aby mnie Teofil dobrze zrozumiał:

— Ty byłeś zawsze dyskusją intelektualną, lekceważyles wszystkie, co nie było logicznym, wypływającym ze znanych przesłanek argumentem. Moje pokolenie przechodzi kryzys argumentu.

— Jakże to? — zdziwił się Teofil — miałbyś rację ci, co twierdził, że znów świat wejdzie w epokę irracjonalizmu, że cykl rozwoju nauki skończył się wraz z wiekiem XIX i ludzkość wkroczy w nowy etap mitów i zabobonów?

— Nie, Teofilu — odrzekłem — mylisz się. Nigdy jeszcze tyle się nie mówiło o „światopoglądzie naukowym”. Na uniwersytetach trwa zaciekle walka prowadzona przez zwolenników materializmu jawnie i publicznie i dzisiaj żaden już książd Grozd nie ważyłby się zaproponować usunięcia ciebie z gimnazjum za propagandę antyreligijną.

— I gdzie w tym wszystkim kryzys argumentu? — pyta zdziwiony Teofil. — Czyż ci ludzie nie podają tych najużyteczniejszych wyłowionych z wielu setek stron druku, nad którymi to stronami musiałem beżużytecznie nieraz się mizolić?

— Wciąż niby masz rację. To jest dłuższa historia, pozwól, że zanim ją opowiem, przypomnę ci tę drogę, na końcu której Twoje niebo stanęło w płomieniach. Pamiętaj, zamiast iść do Pańci, usiadłeś nad Renanem i od tego się zaczęło.

Rozmowa z Teofilem

JACEK ŁUKASIEWICZ

Czy staraleś się zdobyć światopogląd naukowy? Na pewno tak to właśnie określiłbyś dzisiejsi wychowawcy młodzieży. Staraleś się zdobyć, szukałeś, błąkałeś się po cdegielnych manowcach i nieprzydatnych kompendiach, dochodziłeś, przystawaleś, „znajdowałeś” — i w tym czasie jedna za drugą upadały dogmatyczne formuły. Duch Święty stawał się kobietą, Chrystus nie był Bogiem, Ewangelie stawały się apokryfami... W świetle historii porównawczej religii kruszyły się „mity”. Ale brak samodzielnego wysiłku okazał się pozorny dopiero wtedy, gdy doszło do podstawowego pytania, gdy usłyszałeś głos Kosciuka: — Grodzicki, czy wierzysz w Boga?

Dziś młody człowiek nie ma czasu, ani energii na zastanawianie się nad wszystkimi poprzedzającymi „drobiazgiami”, zanim nie odpowie sobie na owo podstawowe pytanie — dopóki nie rozstrzygnie dramatu, którego ani ateista, ani człowiek wierzący nie potrafią rozstrzygnąć wyłącznie na platformie intelektualnej. Od razu angażujemy się w ten główny dramat, Teofilu — i on pochłania nas bez reszty. Wiesz, jak trudno na to pytanie odpowiedzieć, jak nie można długo znaleźć Ostatecznego Argumentu, a gdy go się wreszcie po wielu trudach od-

najdzie, to i on okazuje się niedostateczny.

Człowiek doprowadzony niespodziewanie do kryzysu gwałtownie poszukuje oparcia. Może to jakiś instynkt samoobrony metafizycznej, a może tylko wygodnictwo. Dość, że niechętnie wyrusza w zbyt długie podróże odkrywcze. — Czuję on, że ani głos czlowieczny, ani słowo pisarza nie ofiarowują, nie mogą ofiarować światopoglądu. Nie mogą ofiarować ani tej „starej” wiary, ani tej nowej. Jest jeden wprawdzie głos Objawienia. Ale ten głos, który tak piękny stawał się w ustach księdza Prusoty, także nie daje wszystkiego, choć prowokuje pytanie:

— „Czy rzeczywiście można przyjąć, że ten jedyny w świecie głos nie wyszedł z niezłych ust? Co zdołało go ocalić, że od dwudziestu wieków brzmi tak czysto i niezfałszowany? Czyż nie jest tak, że przy nim każde inne słowo ludzkie wydaje się mdłe lub oschłe”.

Jeszcze potrzeba czegoś, co odlepi nasze uszy i otwiera oczy. Dlaczego tak daleka była od twich myśli Easka? Znasz przecież to zdanie: „Podnieś kamień, a znajdziesz mnie tam, rozłup drzewo, a i tam jestem”. Oh, dlaczego nie jesteśmy pewni, Teofilu? Dlaczego brak nam pewności? Czy dla tego, dla czego

Pan każe tchórzom, aby byli odważni, inaczej nie przeżyją?

Człowiekowi potrzebna jest ta pewność. Poszukuje jej u Ducha Świętego, nie bacząc na to, że Duch, jak byłeś o tym głęboko przekonany, jest tylko nicudolną przeróbką kobiecych mitów Wschodu. On staje się w pewnej chwili niezbędny. On opiekuje się dramatami młodych ludzi.

Bo wobec Boga nie ma młodych i starych; tak jak nie ma bogatych i biednych. Są ludzie walczący o światło. A kto walczy o światło, ten nie posiadzie ciemności. Książd Grozd był małoduszny.

JESTEM z pokolenia tych, którzy odpowiedzi na dręczące ich pytania szukali też na uniwersytetach, ale nie w księgach, a raczej: nie przede wszystkim w księgach. Mało bowiem było czasu na czytanie ksiąg wychodzących poza obowiązkowy kanon lektur. Dlatego mniej było u nas subtelności filozoficznych, mniej było do przemyślenia różnych szczegółowych zagadnień teologii, bo tych zagadnień myśmy nie znali. Nie wiem czy mogę tu używać słowa „my”, lecz sądzę, że przynajmniej mam prawo do wypowiedzania się w imieniu przeciętności. Otóż myśmy nie mieli wielu trudności, które tobie nasunęła zapamiętała lektura ksiąg. Musisz bowiem przyznać, że z wieloma zagadnieniami teologicz-

nymi zetknął się po raz pierwszy dopiero w trakcie czytania dzieł ateistycznych. Pedantyczny wykład księdza Grozda był tylko szkicem, schematem, który musiales sobie dopełniać. I zwalczałeś właśnie te dopełniające szczegóły, bo przecież w owym szczegółom najwięcej było argumentów.

Myśmy też wnieśli z gimnazjów ów schemat, tylko że kapitalna różnica polega pomiędzy nami na tym, że ciebie, „szczególnie myślącą jednostkę” wiodła własna pasja do odkrycia pierwszej przyczyny, wiódł ów instynkt niepokoju ontologicznego pokrewny instynktowi „naukowej rzetelności” (pracowicie rozwijanej przez twoich mistrzów, XIX-wiecznych myślicieli), a nas, ludzi przeciętnych, którzy sami może nie potrafilibyśmy się wyrwać z wygodnej sytuacji stabilnej, wyrwano przemocą i kazano odpowiadać na pytanie: wierzysz w Boga, czy nie wierzysz? uważasz religię za przesąd, czy za prawdę? Odpowiadaj uczciwie. I dlatego nie wiem, czy to jest dobrze, czy źle (nie wchodzi w razie w ocenę tego), że byliśmy słabo uzbrojeni, bądź nie mieliśmy czasu, a może nie czuliśmy potrzeby wgłębiania się w poszczególne prawdy wiary, dość że odpowiedzi szukaliśmy przede wszystkim we własnych sumieniach, wewnątrz siebie.

Instynktu ontologicznego nikt słowami nie rozwinię, wyrabia on się

(Dokończenie na str. 4)

W NUMERZE listopadowym francuskie czasopismo „Etudes” opublikowało, nie wyrażając ze strony redakcji żadnych zastrzeżeń, list pewnego katolika z Algeru. List ten usiłuje w imię wiary usprawiedliwić wyłączenie się katolików ze spraw życia doczesnego. A oto kilka jego wyjątków:

„Jestem w sytuacji widza, który obserwuje grę prowadzoną bez żadnych zasad; ponadto los moją skazuje mnie na to, że zawsze tym widzem pozostanę i tylko z wyjątkami trybun będę mógł wyrazić swoje oburzenie. Nie przeszkodzi to w najmniejszym stopniu powtarzaniu się tych nieprawidłowości gry, a ponieważ będą one obustronne, w rezultacie nie będę już wiedział, kogo mam oskarżać o kogo bronić. Jedynie, co mi pozostanie, to oczekiwanie na koniec tej rozgrywki (...)

Kiedy myślę o przyszłości Algeru mam głębokie przekonanie, że pozostała mi tylko nadzieja chrześcijańska, gdyż nie czuję, abym miał prawo angażować się w nadzieje doczesne poza moimi codziennymi zajęciami i obowiązkami; z jednej strony dlatego, że nie widzę już jasno, jaka powinna być przyszłość Algeru, aby była ona najbliższa duchowi Królestwa Bożego, z drugiej strony zaś dlatego, że jeśli udałoby mi się uformować moją nadzieję chrześcijańską zgodnie z tymi nadziejami doczesnymi nie będzie to miało żadnego wpływu na bieg wypadków. W braku więc nadziei, tak jak wielu innych, ograniczam się do przepowiedni“.

Redakcja innego francuskiego czasopisma „Esprit” polemizując z autorem cytowanego listu pisze:

„Podobne skrupuły przynoszą jedynie zaszczyt autorowi tego listu. Wolno mu jednak postawić pytanie: jeśli w tej najbardziej dzisiaj zawiąklej i najboleśniej sprawie, katolik nie wie jakie ma zajęcie stanowisko, kiedy będzie wiedział? Jeśli Chrystus nakazywał głosić pokój, to przede wszystkim tam, gdzie sroży się wojna, jeśli nakazywał triumfować sprawiedliwości, to przede wszystkim tam, gdzie króluje nierówność. Chrześcijanin, którego los postawił w takiej sytuacji, jak śmie uskarżać się na to publicznie!

Smutny jest fakt, że przedstawia nam się jako cnotę chrześcijańską sprytnie wyłączenie się od działań i to we Francji, w kraju, gdzie w każdym kościele można znaleźć posąg świętej Joanny d'Arc, która miała chyba więcej niż nasi uczeni powodów, aby pozostać w domu“.

Redakcja „Esprit” w odpowiedzi na enuncjację korespondenta publikuje list księdza z okręgu Oranu. A oto jego tekst z nieznacznymi skrótami:

CHRZEŚCIJANIN powinien wierzyć, że wszyscy ludzie są równi wobec Boga, z samej natury i poprzez Odkupienie, że wszyscy są dziećmi jednego Ojca i wszyscy mogą być zbawieni. Jednak tej równości, jeśli nawet słownie się ją uznaje, nie stosuje się w konkretnych wypadkach. Masy katolików zachowują się tak, jakby w nią nie wierzyły; i istotnie, jeśli nie zawahamy się do trzech do jądra tej smutnej prawdy, masy katolickie rzeczywicie w tę równość nie wierzą. Jeszcze teraz ochrzczeni i księża pogardliwie się wyrażają i z porozumiewawczym uśmiechem mówią: „nasł bracia muzułmanie”. Ochrzczeni i księża dowiadując się o śmierci muzułmanina na skutek jakiegoś wypadku mówią: „jeden mniej i tak jest ich za dużo”. Ochrzczeni i księża z bólem stwierdzają, że obecne represje nie są dostatecznie skuteczne, nie rozumieją, dlaczego „czeka się z zaniemieniem Aures napałmem” i dlaczego „nie zniszczy się wszystkiego“.

„Duchowieństwo ponosi tutaj z trawiającą odpowiedzialność — pisze dalej autor — nie nauczyło ono w tym kraju słowem i przykładem praktycznych wymagań chrześcijaństwa, nie zaangażowało się w walkę na śmierć i życie przeciw rasizmowi. Samo jest tym rasizmem zarazem i przeniknięte aż do zapomnienia o najbardziej elementarnych nakazach chrześcijaństwa. Jak w tych warunkach, odwracając się od Ewangelii, mogło ono zbudować chrześcijaństwo w środowisku europejskim? Jak Bóg mógł mu to umożliwić?

Jest teraz rzeczą niezwykle ważną, aby zważyć tę mentalność, aby ją kompletnie przemienić. Będzie to bardzo trudne. Trzeba zacząć od chługoństwa i działań zdecydowanych bez zbędnych sentymentalizmów.

Wiem, że wszelki apostołat był zawsze zakazany przez władzę. A francuski ksiądz, dobry, jak każdemu wiadomo, patriotą posłusznie się podporządkował. Był bardziej posłuszny, niż tego od niego żądano, poszedł dalej, niż sięgali ża-

danła władz, po prostu i z wyjątkiem odwrócił się od islamu nie poświęcając mu najmniejszej uwagi. (Mówię o okręgu Oranu, który znam najlepiej). Nie mamy swobodnych rąk, aby nauczać, nawracać, chrzczyć, w rezultacie nie robimy nic. To zachwycające rozwiązanie teologiczne i misyjne stało się tutaj, od stu lat, pewnego rodzaju nienaruszalnym dogmatem. A my zachowujemy spokój sumienia, skoro to państwo ponosi ciężar winy; my biedni księża słuchamy tylko ustanowionej władzy, jak to nakazuje zdrowa i roztropna teologia.

szere instynkty. Muzułmanie są pełni wad, fanatyczni i nieprzekorni dla chrześcijaństwa. Oto zaufanie okazane Bogu, Zbawicielowi wszystkich ludzi! Oto zaufanie okazane człowiekowi odkupionemu przez krew Chrystusa!

Niezależność ludzi i zagadnień islamu zarówno wśród wiernych, jak i wśród kleru jest uprost zdmiewająca. Po co poznawać problem tak godny pogardy? Przebrzmiałe opowieści, pobiężne oceń, głupie bajki są powtarzane z rozbrajającym przekonaniem przez ludzi wykształconych i posiadających dyplomy. Historii Afryki i

wielkim nieszczęściem w tym kraju. Chrześcijanie nie umieli kochać. Duchowieństwo nie umiało kochać. Przyznamy się do tego, prośmy Pana o przebaczenie i naprawmy winy. W Algerze czy gdzie indziej, tak jak zresztą wszędzie, albo Kościół jest Kościołem misyjnym, albo nie jest obecnym. Od stu lat należało ufundować tutaj misję. Rzym prosił o to na próżno. Stworzono biskupstwa identyczne jak w metropoli a władze wskazywały duchowieństwu, że jest ono tutaj po to, aby zajmować się wyłącznie Europejczykami. Ale zadanie pozostaje i musi być doko-

Listy z Algeru



Strzelby i ręczne bomby (robione własnym przemysłem z puszek napędzanych naftą i prochem) znajdujące się przy aresztowanych partyzantach algerskich.

Szczerze mówiąc powinniśmy jeszcze dodać, że pobieramy także pensje jako nagrodę dla dobrych i lojalnych stuż. Tak jest, świecka Republika co trzy miesiące przelewa do kas katolickich urzędów w Algerze, dokładniej mówiąc do biur poszczególnych parafii, poważne sumy pieniędzy. Mimo, że są podstawy do tego, aby prawo o rozdziale Kościoła od Państwa było stosowane w „trzech departamentach francuskich”. Ale duchowieństwo może dzięki temu służyć cywilizacyjnej misji Francji. A poza tym trzeba było w jakiś sposób ściągnąć księży z metropolii, aby utrzymać dla Francuzów stanowisko, które mogłoby zająć księża hiszpańscy, maltańscy czy też włoscy. Blogostanowienie pamięci „wystraszonych finansowo” znaleźli środki, który okazał się dobry: opłacić duchowieństwo.

„Katolicki i francuski idą zawsze razem”: oto mamy tutaj religię pewnej grupy, religię, która dokonuje rozróżnień; religię, która dzieli. Duchowieństwo mówi i działa tak, jak i było duchowieństwem Francji, jakby było duchowieństwem Europejskim. Zapomina, że jest duchowieństwem Kościoła i wszystkich ludzi. Jest dumne z oznak zadowolenia i szacunku, jakie okazuje mu państwo w nagrodę za nieposłuszeństwo nakazom Ewangelii i stale postarzającym się, dyktetycznym Papięży. Uważa i wierzy w to, że powstrzymuje się w ten sposób od wszelkiej polityki. W istocie rzeczy poprzez współudział w milczeniu i braku działania uprawia tę politykę i to politykę bardzo złą. W ten sposób zdobywa spokój, wygodę, łaskę możnych i władz, ale zdradza Kościół. A wierni to niebyswała ironia tej nazwy! czy mogą zachowywać się inaczej jak ich pasterze? Zmuszeni do stykania się z muzułmanami w pracy, w interesach, w urzędach i w stosunkach sąsiedzkich występują jako chrześcijanie. Robią to jednak tak dobrze, że muzułmanie nigdzie w codziennym życiu nie stykają się z katolicyzmem.

Pogarda dla ludzi i spraw islamu przejawia się w rozmowach i czynach. „Religia ta zawiera jedynie błędy i usprawiedliwia najni-

szere instynkty. Muzułmanie są pełni wad, fanatyczni i nieprzekorni dla chrześcijaństwa. Oto zaufanie okazane Bogu, Zbawicielowi wszystkich ludzi! Oto zaufanie okazane człowiekowi odkupionemu przez krew Chrystusa!

Z kanonicznego punktu widzenia Alger nie jest terenem misji. W rzeczywistości milion ludzi ochrzczonych żyje wśród 9 milionów nieochrzczonych. A więc nakazy Stołicy Apostolskiej dla krajów misyjnych powinny tutaj obowiązywać. Kościół niczego nie odmawia i nie nie odrzuca z wyjątkiem zła i grzechu. Jaka moralność, jaka teologia mogłaby nam zabronić rozumieć, podzielać i utwierdzać, we wszystkim, co nie jest sprzeczne z dobrem i z naszą wiarą, słusznymi dążeniami i walecznymi, pragnieniami niepodległości naszych braci algerskich. Musimy przywrócić nasz chrześcijaństwo w Algerze, w godziwym wzroście uczuć narodowych. Nie brać pod uwagę tego faktu, nie wypowiadać się na jego temat, pod pretekstem nie mieszania się do polityki, jest po prostu zwyciężającym brakiem realizmu.

Chrześcijaństwo jest oddaniem. Już zakonnice różnych obrządków stworzyły domy i szkoły dla dziewcząt muzułmańskich. Dlaczego w okręgu Oranu tylko kobiety noszą to świadectwo? Islam jest religią mężczyzn. W Maroku i gdzie indziej szeroko znana jest działalność ojca Peyriguères, ojca Fauc, Braci Mniejszych od Jezusa i wielu innych, którzy w środku pustyni ukazują dobroć i słodycz naszego Boga. Bernanos mówi: „jest tylko jeden błąd i jedno nieszczęście na świecie — nieumiętność dostatecznego kochania”. Poprzez całe wieki było to wielkim błędem

nanie niezależnie od tego, jakie są ramy prawne. W żadnym wypadku nie można zaniechać tego obowiązku“.

List księdza z Oranu redakcja „Esprit” opatruje następującym komentarzem:

CZY chrześcijanin, który słucha takiego apelu może ze spokojnym sumieniem zasiąść na fotelu niez zaangażowanego arbitra? Nie wymaga się od niego, by walczył jak Joanna d'Arc, ale trzeba mu postawić pytanie, czego dokonał dla tego kraju, jak walczył przeciw torturom zadawanym przez algerskie Gestapo, co zrobił, aby osłodzić los ofiar i pomóc ich rodzinom? Są francusko - muzułmańskie ośrodki wspólnych rozwiązań; dokąd więc wojna na śmierć i życie nie rozgorzała wciąż jeszcze pozostaje tysiąc rozlicznych możliwości interwencji na rzecz pokoju, pokoju, który nie byłby milczeniem niewolników lecz kresem kłamstwa i początkiem sprawiedliwości.

Jeśli wydarzenie o tak poważnym znaczeniu, jak przewrót w Algerze miałyby skazywać dobrą wolę chrześcijan na bezczynność znaczący byłoby to, że niewiele pozostaje im już do zrobienia na tej ziemi.

Skończymy z łatwymi i bojaźliwymi różniczeniami tego, co „doczesne” i tego co „duchowe”, różniczeniami, których nie stosuje się tak rygorystycznie, kiedy są one sprzeczne z naszymi przyzwyczajeniami i interesami. Nie z pewnością nie przeszkadza chrześcijaństwu opowiadać się za przeciw idei federacji, integracji czy za jakąś inną formułą polityczną. Ale mówić, że jest się bezsilnym wobec żądań godności ludzkiej, jakie wyraża ten bunt, wobec konkretnego zadania uwolnienia i wspólnego życia, które jedynie może położyć kres wojnie, znaczy to godzić się na zwycięstwo obustronnych ocalałych, znaczy to opowiadać się za postawą „doczesną” i to najgorszą: tą która oznacza ustępstwo ducha wobec ostatecznej przewagi siły“.

Opracowała: I. K.

ISTNIEJĄ co najmniej dwa rodzaje krytyków. Jedni podchodzą do dzieł literackich z pewnym ściśle określonym zespołem wymagań, inni kształtują swój gust i smak w toku obcowania i dostosowują swój punkt widzenia do jednej w swoim rodzaju rzeczywistości, jaką prezentował im autor. Pisarze ci uważają, że przedmiot poznania warunkuje strukturę narzędzi badawczych. Tak. Dobry klucz pasuje tylko do jednego zamka. Nie ma wytrychów uniwersalnych. Zwolennicy krytyki immanentnej sądzą, że w samej strukturze dobrego dzieła sztuki tkwi potencjalnie zawarty wskaźnik jego istotnej i specyficznej wartości. Wystarczy więc prawidłowo odczytać rzeczywistą intencję autora, by móc uczciwie i ściśle skonfrontować zamiar z wykonaniem i nie wprowadzać do procesu oceny krytycznej momentów, które zwykle nie wspólnego z zamysłem twórczym nie mają.

Przykro mi twierdził, że najpierw trzeba ustalić, co dany autor chciał osiągnąć, a potem dopiero można zastanawiać się nad tym, w jakim stopniu mu się to udało. Nie znaczący to oczywiście, by krytyk nie miał prawa kwestionować celowości tych podstawowych założeń. Może on je bardzo energicznie zwalczać, a nawet uznać czyjś złe obrany punkt wyjścia za całkiem fałszywy, niemniej jednak zasadnicza intencja autorska musi go obowiązywać nawet wówczas, gdy z takich czy innych powodów nie jest w stanie ustosunkować się do cudzej koncepcji pozytywnie.

Przystępując do omówienia świeżo wydanego tomu eseju Pietrzaka, przez dłuższy czas zastanawiałem się nad tym, do jakiej kategorii krytyków wolno mi zaliczyć autora „Rachunku z dwudziestolecia”? Czy do tych, co już przed rozpoczęciem lektury wiedzą, czego chcą od dzieła, czy do tych, co w samym dziele znaleźć usiłują jedynie miarodajny sprawdzian jego odrębnej i niepowtarzalnej wartości? I wydaje mi się, że istnieje wszelkie podstawy do tego, by stwierdzić, że Pietrzaka bezwzględnie wyciągamy tu wypadnie do określonej wyżej pierwszej kategorii.

On dobrze wiedział, czego powinien żądać od literatury, i to od samego początku wydawało mi się niepokojące. Sprzeczałem się bardzo z tego powodu. Teraz, kiedy na nowo czytam jego świetne studia, staram się znaleźć odpowiedź na zasadnicze pytanie: jaką wizję nowej sztuki usiłował przeciwstawić Pietrzak temu wyobrażeniu o życiu i świecie, które utrwalił w swych dziełach pisarze najbardziej reprezentatywni dla międzywojennego dwudziestolecia 1918—1939? O co on z nimi walczył? Czego się od nich domagał?

Pozwólcie, niech najpierw on sam tę wątpliwą gruntownie wyjaśni. W szkicu „O powołaniu pisarza” autor wyraźnie określa swoje stanowisko:

„Ostatecznie w dziele literackim nie chodzi o konflikt, nie o ich rywalizację i potępienie czegoś czy kogось, lecz o koncepcję rozwiązania, o ugaszenie pożaru, o wzór — jak się zdobywa wobec życia świadomość i postawę niezależną, wykrystalizowaną. Sztuka to kiedyś było tylko naśladowanie w prymitywach, w pierwszych próbach powtórzenia świata. Ale potem powstał mit, czyli szukanie koncepcji, jak żyć, co ścierać karę, jaka jest granica ludzkiej swobody, ludzkiej wolności“.

I dalej: „Do tej odpowiedzi nie wystarczy się przygotować kuciem po nocach na pamięć podręczników filozofii XVIII, ekonomii XIX, socjologii XX stulecia. Nie wystarczy też powtórzyć, opisać przeżycia — biorąc je psychologicznie lub fizjologicznie. Coś więcej — tworzenie mitu, naśladowanie mitu. Mitotwórstwo — oto co jest na dnie epopei, dramatu. Istotą mitu nie jest jednak jego anegdota, lecz koncepcja życia, której wcieleniem jest bohater mitu.“

Koncepcja życia! Tego szukał w książkach Sienkiewicza, Prusa i Żemrowskiego, a potem usiłował ją znaleźć u Iwaszkiewicza, Nałkowskiej i Dąbrowskiej. Z tym pytaniem zwracał się do Kadena i Witkiewicza. I nie tylko do nich. Calej ówczesnej literaturze europejskiej urządził wielki egzamin. Chciał się koniecznie dowiedzieć, jaka to wizja doskonałego kształtu egzystencji ludzkiej widnieje w perspektywie najwitalniejszych powieści dwudziestego wieku.

Każdy „twór literacki daje tylko cząstkowe widzenie świata. Istnieje jednak możliwość zestawienia szeregu tych żywych zwierciadeł w taki sposób, by życie, odbite w nich ze wszystkich stron naraz, ukazało swe wielowymiarowe i różnorodne proporcje, całkowicie dojrzałe do organicznego scalenia w obrębie nadrzędnej syntez. To właśnie było ambicją Pietrzaka i naszą rzeczą się pojąć w ślad jego zamierzeń — czyli zaznajomić się z ich rezultatem.“

Inaczej nie potrafimy ukazać literackiego profilu interesującej nas epoki. Trzeba wiedzieć, jakie elementy ówczesnego życia zostały wchłonięte i przetworzone w sztuce, bo tylko pod tym warunkiem można jej przeciwstawić postulowaną wyższą hierarchię wartości.

DOTYKAJĄC tego zagadnienia, autor już w naturalizmie dopatruje się pierwszych oznak omdlenia dziewiętnastowiecznego społeczeństwa. Dowodzi, że naturalistyczny

czna wizja człowieka oparta jest o nadekalaną pesymizm, o zasadnicze niezadowolone z życia. Przy tej okazji cytuję naturalnie Zolę, a także Nietschego i Schopenhauera. Nie mamy nic przeciwko temu. Wolelibyśmy jednak sięgnąć do przykładów znacznie nam bliższych i bezpośrednio przekonających się o tym, jak ten europejski przetom kulturowy zaznaczył się w literaturze polskiej.

I tu trzeba od razu powiedzieć, że to pure widzenie świata znalazło pełny wyraz dopiero w naszym stuleciu. Orwajac tworzyć Iwaszkiewicza, Pietrzaka ze szczególną siłą zwraca uwagę na fakt, że w „pociu” tego znakomitego pisarza istnienie jest doświadczeniem bolesnym. Bohaterowie jego, zrodzeni w bezdziejowym okresie międzywojennym, rzako kiedy zdawali sobie sprawę z celu swego życia. Było ono w ich przekonaniu czymś tajemniczym i bezsensownym. Ostatecznie mogło mieć nawet jakieś przeznaczenie, ale nie miało zadania i misji. Postacie stworzone przezeń nie wiedzą, czy w życiu można znaleźć sposób na ludzkie cierpienie i ból. A bogiem ich świata jest spokój — ostatecznym wyrazem spokoju: śmierć. Prawdziwy byt okazuje się bytem statycznym. W literaturze tej przeważa wszędzie obecna myśl, że życie nie udało się Bogu i ludziom, a najgłębsze powołanie sztuki polega na mówieniu prawdy o klęsce ludzkiego istnienia. Każdy z nas mota swój kłębek tragicznej winy i nie może się z niego wyplątać. Nie może zmierzyć się z życiem ani opanovać się sobie przeciwnym. W tym poglądzie, raz po raz odzywa grecki fatalizm, poczucie daremnej walki z losem staje się dominujące. Cierpienie uchodzi za konieczny współczynnik prawdziwego doznawania świata, tylko ono nadaje rzeczom kosmiczny wymiar i głębię. Bez niego człowiek jest ślepy i nie wie, co go otacza. W tym ujęciu nawet miłość staje się siłą niszczącą, przykuwa bowiem do istot zawsze skłonnych zadawać ból. Potrzeba Boga wzmaga się w miarę zdobywania straszliwej wiedzy o życiu. Człowiek codziennie dojrza do tego, aby się znaleźć poza nim. Jest mądry, gdy spokój i uciśnienie uważa za swą największą szansę i finał swych ostatecznych przeznaczeń.

Ciekawe, że nawet stosunek jednostki do zbiorowości opiera się tu na akcie rezygnacji. Wszak pisząc o „Czerwonych tarczach” Pietrzak wyraźnie dowodzi, że człowiek żyjący w zespole siłą rzeczy upodabnia się do współtowarzyszy, gdyż tylko pod tym warunkiem może ich rzeczywistość zrozumieć. Jest to podanie się całości bez wyślania osobistych żądań. Wspólnota wchłania nas i przekształca, nie niszczy, ale wielokrotnie swą moc w każdym doświadczającym jej pełni człowieku. Jednostka żyjąca na wyższym szczeblu świadomości nie „obawia się żadnego „zagubienia w masie”, rzekomo przesłaniającej ją samą. Przeciwnie. Im bardziej jest uspołeczniona, tym szybciej się może rozwijać. Nie interesują nas jakiegoś izolowane, martwe egzystencje. Pociąga nas życie w liczbie mnogiej, gdyż właśnie dzięki niemu możemy się nieskończenie rozrastać, bezustannie zasilać różnorodnymi impulsami, których nie szczeni nikomu środowisko istniejące na zasadzie wymiany wartości i usług.

Teśnkota do organiczności to najpotężniejsza namiętność stulecia — wielka szansa literatury współczesnej. Dziś „abardziej obchodni nas owa głęboko ukryta więz zespalająca narody i klasy społeczne. Ukazając ją i obnażając potrafi tylko ten, kto dotrze do istotnych sprężyn bytu socjologicznego. W „Czerwonych tarczach” przedstawione jest inne stadium — bez porównania wcześniejsze. Nie umniejsza to artystycznych walorów tej książki.

Pietrzak omawia szczegółowo „Paśje błędmierskie” — tę powieść o umieranu przywódców tradycyjnej elity. Widzimy, jak stopniowo zamiera w nich twórcza energia. No cóż... Jeszcze jedna elita się kończy. Znaćcie, to posłuchajcie. I pomóście nam znaleźć następów. Tymi następami stają się w finale „Paśji” Otto Krowoski i Lodzia Karbowiakówna: odnowiona, niby nowoczesna inteligencja i wzbogacony chłop — jako źródła nowej siły. Iwaszkiewicz traktuje je całą koncepcję pół serio, przedstawia ją niejako w ironicznym cudzysłowie. Nie byłoby nic bardziej fałszywego niż upatrywać w owym rozwiązaniu jakiegos odpowiednika jego ówczesnych poglądów. Autor nie musi ich wcale wyjawiać. Im mniej o nich mówi, tym lepiej, bo sztuka jest kwestią dyskrecji.

Z KOLEI przyjrzyjmy się, jak widzi te samą epokę Nałkowska. Pietrzak poświęcił jej specjalny esej, dodajmy: niezwykle ambitny. Usiłował dotrzeć do warstwy znaczeniowej dzieła, a pod powierzchnią beletystycznych obrazów odnaleźć kształtujący je pogład na świat.

Spotykam tu twierdzenia czasami wręcz zdumiewające. Takie, że miałbym ochotę je sprawdzić; nie zawsze jednak potrafię. W tej chwili na przykład zastanawiam się nad zdaniem tej treści: „Był w jej oczach nie istnieje — objawia się tylko i wtedy może być chwytany, demaskowany.“ A więc co chwila jak gdyby zanika albo przybiera martwą i bezosobistą postać, staje się nieludzi i obojętny. Nie ten, z którego wyszliśmy i w który na powrót wejdzmy. To poczucie obojętności istnieniu przesładuje wielu egzystencjalistów, tu jednak pokrewieństwo wydaje się raczej dalekie i niełatwo je będzie wyznać.

A teraz druga teza uznana przez wielu za słuszną. Pietrzak uważa, że człowiek w potęciu Nałkowskiej

BUDOWANIE nowego wzorca współzycia społecznego wymaga ofiar graniczących nieraz z heroizmem, domaga się wprzeżnięcia wszystkich sił zdolnych przybliżyć nas do celu, uzasadnia walkę z każdym przejawem nieszczęścia i lekkożywności, opóźniającego jego realizację. W tych warunkach staje się zrozumiałym spór o wartość światopoglądu religijnego dla konkretnych ludzi w konkretnej, np. produkcyjnej pracy. Każda wartość rzuca musi ustąpić, gdyż jest szkodliwa a jej miejsce ma zająć wartość rzeczywista, zdolna mobilizować ludzi do zwiększonego wysiłku twórczego. Według naszych

które utrzymują, że Bóg jest, że Bóg jest Osobowy, że człowiek ma duszę. Są one teżami wiary, ale są zarazem i teżami wiedzy, bo można o nich mówić w sposób rozumowy i je udowodnić. Te właśnie zagadnienia, obok wielu innych, stanowią przedmiot rozważań filozofii chrześcijańskiej.

STRUKTURA ŚWIATOPOGLĄDU

ŚWIATOPOGLĄD religijny w odróżnieniu od światopoglądu laickiego ma budowę złożoną. Wyróżniamy w nim elementy wiary i wiedzy szeroko pojętej. Obok więc też zawierających treść objawio-

może być „esopsem sądów zapamiętanych lub zespołem sądów przyswojonych”, duchowo zasymilowanych. Światopogląd tylko zapamiętany kryje w sobie niebezpieczeństwo dzielenia wbrew lub mimo norm zawartych w takim światopoglądzie, o ile działania dokonywać się ma w zmienionych warunkach i tak dalece odbiegających od zwykłego trybu, że żaden z gotowych sądów nie będzie mógł być wykorzystany, bo każ przeróbki nie będzie pasował do nowej rzeczywistości indywidualnej lub społecznej. Światopogląd różnicuje się w swojej budowie ideowej zależnie od

trafne sądy i jej niemily tom afektywny może być przenoszona na sam światopogląd, gdy nieufność samych wyników raczej z nieumiejętnego, błędnego rozumowania, chociaż opartego na zasadach prawdziwych lub z błędnego spostrzeżenia, wadliwej obserwacji warunków, których dotyczy ów nietrafny sąd. Należy wówczas poddać kontrolę najpierw obserwację, a więc czy nowa sytuacja, wobec której ma być zajęta postawa umysłu i działania, była zrozumiana, czy spostrzeżono, o co w niej chodzi, tj. jej główne charakterystyczne momenty, nadto i związki z innymi czy to przeszłymi, czy też na przyszłość możliwymi sytuacjami. Należy przecież zrozumieć zagadnienie wytworzone przez nową sytuację pierwaj, niż się wyda sąd, czyli rozwiązanie, zwłaszcza gdy sąd ma być dojrzały, dopasowany obiektywnie... Domagałoby się również kontroli i rozumowanie poszukujące i wydające sąd w odpowiedzi na daną sytuację”.

Zwrócenie więc uwagi na te momenty uchroni zarówno światopogląd religijny przed niedostateczną przemyślanymi atakami ze strony przeciwników światopoglądowych, jak również wyeliminuje błędy i nieporozumienia wkradające się i panoszące w polemice światopoglądowej. Za błędy i nieumiejętne przystosowanie światopoglądu obciążać należy bowiem ludzi wyznających ten czy inny pogląd na świat.

Trudno bowiem uznać słuszność wystąpień, które opierają się na prawdziwym fakcie, że człowiek wierzący popełnił taki czy inny błąd, uogólniwszy ten fakt i montując już generalny zarzut przeciwko światopoglądowi religijnemu czy religii w ogóle. Przystosowanie światopoglądu jest funkcją inteligencji ludzi, jako pewnej zdolności przystosowania się do nowych warunków życia. Ten sam światopogląd (w sensie psychologicznym trudno jest mówić o dwóch jednakowych światopoglądach) wyznawany przez różnych ludzi będzie posiadał mniejszą lub większą zdolność przystosowania do nowych warunków, czyli będzie uwzględniał współczynniki inteligencji tych ludzi.

Wartość światopoglądu można rozważać także od strony jego funkcji społecznej, dokonując oceny jego skutków obiektywnie sprawdzalnych, dostępnych do świadczenia społecznego. W tym sensie wartość światopoglądu religijnego będzie rzeczywista, o ile będzie można stwierdzić fakty, które będą zrozumiałe tylko wtedy, gdy się zna ich związek ze światopoglądem. Z tego punktu widzenia możliwa też będzie ocena wartości światopoglądu religijnego w warunkach przemian ustrojowych zachodzących w naszym kraju. Będą się w tym wypadku liczyć fakty, które znalazły swą motywację w światopoglądzie religijnym. Dowodzenie więc mające na celu wykazanie pozornej tylko wartości tego światopoglądu, winno uprzednio przekonać nas, że żaden z faktów bogatej praktyki ruchu społecznie postępowego katolików nie ma absolutnie żadnego związku z wyznawanym światopoglądem. W przeciwnym bowiem razie niczego się nie dowodzi, a stwarza się tylko pozory rzetelnego myślenia.

SPÓR O WARTOŚĆ ŚWIATOPOGLĄDU

SYLWESTER ZALEWSKI

polemistów, taką wartością pozorną albo inaczej zabobnem jest wiara w sily nadprzyrodzone, która — jak sugerują — odciąga ludzi od wysiłku przekształcania form życia społecznego i mami ich wizją rajskiego szczęścia. Stąd już krótka droga do wiązania, że wiara jako fakt społeczny jest szkodliwa dla budownictwa socjalistycznego i należy ją zwalczać. Według niektórych spośród tychże polemistów zjawisko ruchu społecznie postępowego katolików nie liczy się jako fakt społeczny, świadczący przeciwko interpretacji wiary jako wartości pozornej, gdyż katolicy społecznie postępowi są ludźmi niekonsekwentnymi, działającymi wbrew lub mimo nakazów i prawd swojej wiary. Wyowiedzi takie, merytorycznie nie zgodne ze sżkicowym przedstawionym schematem, są zjawiskiem częstym na łamach prasy niekatolickiej, świadczącym o ofensywno-ideologicznej skierowanej przeciwko światopoglądowi religijnemu.

Trudność polemiki leży w tym że wypowiedzi podobne do wyżej przedstawionego schematu, oskarżają nas w najlepszym razie o niekonsekwencję, a właściwie o oportu-

WIEDZA — NAUKA — WIARA

NIEŚCISŁOŚCI terminologiczne zawsze prowadziły do nieporozumień i błędów. Próbkę takiego „sporu” mieliśmy możność obserwować w toczącej się dyskusji pomiędzy publicystami „Dziś i Jutro” i „Po Prostu”. Ze strony katolickiej padło sformułowanie, że światopogląd religijny jest syntezą wiedzy i wiary. To bardzo ogólne określenie spowodowało krytyczne uwagi „autorytetu naukowego”, który orzekł, że w tak pojętej syntezie nie ma miejsca na wiedzę w sensie nauki, rozumianej jako znajomość obiektywnej prawdy o świecie i człowieku. Konsekwencją takiego mniemania były uwagi o problemie historyzmu katolickiego. Stąd wydaje się uzasadniony postulat posługiwania się jasnymi i wyraźnymi pojęciami, których sens w miarę możliwości jest jednoznacznie określony.

„Przez wiedzę rozumiemy potocznie zbiór wiadomości, zbiór sądów wypowiadających wiadomości, przy czym te wiadomości niekoniecznie muszą być uzasadnione, a zbiór ich niekoniecznie uporządkowany.” Zródłem tych wiadomości jest własne doświadczenie ludzi, bądź też otrzymane od otoczenia wychowanie. Wiadomości te nie są uzasadnione, tzn. „wiedzą, że tak a tak sprawy się mają, że tak a tak trzeba działać, nie wie jednak (człowiek niewykształcony — dop. S. Z.), dlaczego tak a tak być musi, dlaczego właśnie tak, a nie inaczej”. Owe sądy wypowiedziane przez otoczenie nie muszą być również uporządkowane w sposób logiczny i rzeczowy. Tak rozumiana wiedza nosi nazwę „wiedzy przed naukowej” w odróżnieniu od „wiedzy naukowej” czy po prostu „nauki”, gdzie chodzi o wiadomości uzasadnione, o wiadomości uporządkowane według reguł rozumowych. „W skład nauki wchodzi zdania wypowiedziane relacje konieczne między podmiotem a orzeczeniem i powszechnie dotyczące jednak przedmiotów jednostkowych, indywidualnych”. Tylko wiedza uzasadniona tworzy naukę. Każda z nauk posiada właściwe sobie zasady, aksjomy, tak, że jedna nauka nie może korzystać z zasobów drugiej nauki, chyba że zosawałyby one w stosunku podporządkowania, np. chemia może uzasadniać swe tezy przy pomocy zasad przyjętych z fizyki, ale wtedy stanie się chemią fizyczną. Ogólnie przebiegiem, że nauką jest zbiór zdań ogólnych uzasadnionych przy pomocy właściwych danej nauce metod oraz uporządkowanych według reguł rozumowych. „Od wiedzy odróżnić należy wiarę. Wiarą razujemy uznanie jakichś tez za prawdziwe, nie dlatego, że są oczywiste, i nie dlatego, że z innych czywistych wypowiedzi się dedują, czyli udowodnić, lecz dlatego, że uznajemy powagę tego, kto nam te tezy podaje i poręcza ich prawdziwość”.

„Jeżeli autorytet mówiącego i poręczającego jest ludzki, mówimy o wierze naturalnej, ludzkiej, jeżeli natomiast chodzi o autorytet Boga, wtedy mamy wiarę religijną.”

„Trzeba jednak pamiętać, że istnieją tezy wiary objawione, ale jednocześnie poznawalne i bez objawienia. Zaliczamy do nich też,

człowiekowi przez Boga czyli elementów doktrynalnych, niezmiennych, znajdujących się w światopoglądzie religijnym tezy uzyskane w sposób przyrodzony, właściwy człowiekowi, zawierające wiadomości o świecie nas otaczającym, ciągle wzbogacane w procesach poznawczych całych pokoleń ludzkich. Elementy pozadoktrynalny światopoglądu religijnego, czyli wiedza, obejmuje przede wszystkim wiedzę przednaukową, jak również, a w społeczeństwie oświeconym przede wszystkim, wiedzę naukową, czyli naukę pojmowaną jako znajomość obiektywnej prawdy o świecie i człowieku. Synteza tych dwóch elementów jest możliwa przy założeniu, że pomiędzy wiarą i wiedzą nie ma sprzeczności. Możliwość tej syntezy, a właściwie jej konieczność, jest widoczna z innego jeszcze punktu widzenia, mianowicie po uwzględnieniu roli obydwu elementów w działaniu praktycznym człowieka.

Element doktrynalny światopoglądu, wiara w Boga Osobowego, niesie z sobą między innymi podstawowe prawo moralne miłości Boga i bliźniego oraz nakaz czynienia ziemi poddaną człowiekowi, czyli nakaz panowania nad przyrodą. Te nakazy moralne normują w sposób jednoznaczny stosunek człowieka wierzącego zarówno do Boga i drugiego człowieka, jak również do świata przyrody. Naczelnym obowiązkiem człowieka jest wypełnianie tego, co zostało przez Boga nakazane. W treści wiary mieści się przede zobowiązanie do działania świadomego, działania podporządkowanego nakazom Boga. Chrystus nas uczy, że wiara bez uczynków jest martwa. Słowa te wyraźnie akcentują praktyczny aspekt wiary mającej się przejawiać w konkretnych działaniach, które mogą stanowić kryterium życia tej wiary. Słowa te obiektywizują zjawisko wiary akcentując jej funkcję społeczną oraz pośrednio wskazują na fakt, że w pojęciu wiary mieści się świadoma działalność człowieka.

Ten element światopoglądu katolickiego dostarcza motywów dla postępowania człowieka, stawia pewne cele i zadania przed człowiekiem, nadaje temu działaniu sens i treść, normuje całe życie człowieka wierzącego.

Drugi element światopoglądu religijnego, wiedza szeroko pojęta, jest koniecznym warunkiem wykonania zadań postawionych człowiekowi przez wiarę, staje się niezbędnym narzędziem dla człowieka do praktycznej realizacji prawdy objawionych. Nakaz czynienia ziemi poddaną człowiekowi może być skutecznie, podkreślmy, — skutecznie wcielony w życie jedynie w oparciu o głęboką wiedzę przyrodniczą. Koncepcja więc staje się znajomością osiągnięć badawczych zarówno Archimedesza i Galileusza, jak również Newtona, Kopernika, czy Einsteina. Podobnie nakaz miłości bliźniego, wypełniany w skali społecznej, pozostanie tak długo w sferze dobrych intencji, jak długo będzie z daleka od poznania praw rządzących życiem społeczeństwa. I tutaj staje się niezbędną znajomością osiągnięć naukowych. Tylko bowiem w oparciu o wiedzę o społeczeństwie i prawach jego rozwoju możemy zla społeczne, tkwiące w wadliwym ustroju społecznym, a tym samym realizować nakaz miłości bliźniego w skali społecznej. Istnieje więc przesłanki do obrony tezy o syntezie wiary i wiedzy w światopoglądzie religijnym.

UWAGI o budowie światopoglądu można poszerzyć o rozważania psychologiczne nad światopoglądem, które toczą się wyłącznie na płaszczyźnie świadomości. Opisujemy w tym wypadku i tłumaczymy światopogląd jako fakt psychiczny, w którym wyróżniamy różne czynniki psychiczne: wyobrażenia, uczuciowe, myślowe, woli-tywne.

Światopoglądem w tym sensie będzie zespół sądów, a ponieważ z sądami łączą się przeświadczenia, które należą do całości naturalnej sędu, przede światopogląd możemy określić jako zespół przeświadczeń lub przekonań. Jest oczywiste, że nakł nie rodzi się z gotowym zespołem takich czy innych sądów i przeświadczeń, musi je więc zdobywać w procesie rozwoju umyłu, doświadczenia i potrzeb życiowych. Sądy w światopoglądzie dzielą się ze względu na sposób ich zdobywania na sądy zapamiętane i sądy przyswojone, stąd też „światopogląd

tego, jakie sądy podstawowe składają się na jego rdzeń. „To zaś zależy od zainteresowań poszczegól-nych jednostek, od ich uzdoleń przyrodzonych i nabytych, od ich kultury osobistej i od obranego zawodu”. Światopogląd religijny więc to taki światopogląd, w którym do zespołu sądów podstawowych są włączane sądy będące wyrazem przeświadczenia religijnego. „W zespole sądów tworzących światopogląd nie wszystkie posiadają jednakową ważność. Niektóre z nich posiadają znaczenie naczelne, zasadnicze, podstawowe, bo stanowią ośnowę dla wielu innych sądów. One to stanowią jakby jądro światopoglądu. Niektóre znowu takiej doniosłości nie posiadają, ale wiążą się organicznie z całością, są potrzebne dla uzupełnienia podstawowych sądów, bo rozwijają ich treść. Wreszcie należą tu sądy luźnie spójne z całością, których podważenie lub od-pądzenie nie odbija się na całości. O charakterze światopoglądu decydują sądy podstawowe, które stanowią ośnowę dla pozostałych. Sądy podstawowe są bądź teoretyczne, bądź praktyczne, tzn. normaty-wne.”

Nasuwą się trudność, czy tezy wiary objawionej, wchodzące w skład światopoglądu religijnego, stają się tylko sądami zapamiętanymi, czy też możliwe jest ich przyswojenie. Rozpoczynamy zwykle od zapamiętania tez wiary (X), ale „przyswojenie staje się możliwe nie w sensie zupełnego zintelektualizowania, czyli zrozumienia przynależności wewnętrznej orzeczenia do podmiotu” ale „w ten sposób, że przeglądając różne tezy zaprzeczające wrpoc lub ubocznie tezie X, przewidywamy z o ich nieskuteczności. — Teza X początkowo zapamiętana stanie się naszym własnym sądem w tym znaczeniu, że ją przyswoiliśmy w kontekście nowych wiadomości i utrzymaliśmy jej ważność nadal. Teza X, która zrosła się tą drogą z naszym doświadczeniem, zostaje wbudowana w całość naszej osobowości”.

WARTOŚĆ ŚWIATOPOGLĄDU KATOLICKIEGO

CHODZI tu o problem przystosowania światopoglądu i oceny jego funkcji społecznej. Nieumiejętne przystosowanie światopoglądu do danych warunków powoduje sądy nieufne, mijające się z rzeczywistością. „Bardzo łatwo odpowiedzialność za nie-

Rozmowa z Teofilem

(Dokończenie ze str. 1)

pod presją faktów, cierpienia i Łaski, która kieruje nasz chwiebny umysł w kierunku Prawdy. Dlatego więc może taką ogromną rolę odgrywać dyskusja na płaszczyźnie moralnej i społecznej funkcji religii. Ta płaszczyzna była najbardziej interesującą, jednak zrozumiała dla każdego. I decyzyja odrzucenia wiary religijnej wypływała często z obrazu religii jako „narzędzia wyzysku” i z uświadomienia sobie obłądki moralnej rozmaitych katolików, czy nawet środowisk mieniających się katolickimi.

Dramat wewnętrzny u ludzi uczciwych był wielki, decyzyja była świadoma, lecz najczęściej brakowała jej solidnej intelektualnej podbudowy. Płaszczyzna dyskusji nie umniejszała wielkości wyboru, przeciwnie: czyniła go trudniejszym, bardziej ryzykownym.

Dlatego wygrali ci z pośród nas, którzy potrafili jasno dojrzeć granicę pomiędzy religią a polityką, prawdami wiary a teżami nauk społecznych, potrafili ostrzec, gdzie angażuje się autorytet Prawdy, a gdzie tylko prywatne głębokie przekonania.

Mozemy ze sobą mówić otwarcie, poznaleś trudność tej decyzji. Możemy mówić otwarcie. Mamy daleko za sobą krzykackich Wajdów, którzy zmieniali poglądy na kształt organizacyjnych koszul. Obec są nam ci, którzy pochłania sam tylko najbardziej zewnętrzny urok „nowej wiary”. Na koniec pewnie byłes swego. Wspomnij te myśli: „Nowa wiara. Trudno to nazwać inaczej niżli tym odwiecznym słowem, które nigdy nie przestanie służyć człowiekowi do pojęcia świata”. Gdy ją poczuje w sobie, gdy zrozumie jej działanie, czuje, że może rozpocząć nową pracę, nowe myśli, nowe życie. Czuję w sobie odnowioną wolę. I ty, Teofilu, „gdy klucznik czasu pochylił się nad tobą”, pełen byłes tej odnowionej woli. Czy zastanawiałeś się jednak — na jak długo ona wystarczy? Czy nie budzą w tobie wątpliwości los Kosa i los Kaliny?

Mówią, że jeśli ktoś wybrał Boga, a więc pierwszy z ostatecznych argumentów, to przez całe życie stoi przed nim wybieranie. Czy sądzisz, że ci, którzy wybrali drugi z argumentów, też nie muszą wciąż z bez przerwy walczyć z sobą o niego? Czy myślisz, że łatwo było grzmieć Kalinie i łatwo było drwić Kosowi? Czy nie wiesz o tym, że im także wszystkie księgi, w których stawia waria się moc ludzkiej myśli i woli prawdy, wydały się naraz blache? Poczułi wtedy, że oni również sami muszą decydować, że tego nie uczynią za nich żadne teorie naukowe. Czy wiesz o tym, z jakim wysiłkiem musieli oni przywoływać pomocy argumentów, które nagle strupieziały?

Mówię ci to wszystko nie bez powodu. Stoisz bowiem, Teofilu, młodzieńki i nieugięty, jak wtedy, podczas rozmowy z ojcem, gdy ten pokłócił się ze starym Kaliną, i mówisz wielkie słowo: Prawda — a właściwie mówisz inaczej, bardziej patetycznie, pasując każdy wyraz na wyznanie wiary: „Są ludzie, którzy przysięgli na sztafkar prawdy i uważają za swój obowiązek, aby mu służyć i dochować wierności wszędzie i zawsze”. Prawda jest tylko jedna. Jeśli udowodni się jej choćby tylko cień kłamstwa, przestaje być sobą i każdy jako tako uczciwy człowiek musi ją odrzucić.

To tylko twój poczciwy ojciec hofrat mówił: „Przyjęliśmy, że muszę na niej niejedno przysięgąć oczy i nie wglądać zbyt dokładnie w szczegóły, ale cobyśmy zyskali, gdybym przez pedanterię poświęcił wielki starb dla paru centów, z których nie potrafiono mi się wyliczyć”. I dalej ciągnął rozsuwając w zdenerwowaniu krzesła w pokój:



Rzeźba ludowa z Rzeszowszczyzny.

Z hymnów wielkopostnych

Ex more docti

Wedle zwyczaju najczcigodniejszego,
Gdy serce szczerze i pełne pokory,
Niechaj czterdzieści dni postu świętego
Ciała przenika udręką tej pory.

Czas ten prorocтва nam zapowiadają,
Zachowywano go i w dawnym chwale,
Sam Chrystus — władca wiekulszej chwale,
Uświelił czas ten dlań Swą łaskawie.

I każdy niechaj żyje powściągliwie,
Mierzy pokarmy — słowo swoje waży,
Sen niechaj skraca — nie kpi niedogodzie
I chęci zdrożne niechaj ma na straży.

Przed pracą niech się nasza dłoń nie wzdraga,
Ze złącz do walki bądźmy wciąż gotowi
I nie opuści nas nigdy odwaga,
Gdy drogę przyjdzie zastawić wrogowi.

By sprawiedliwy gniew przebiegał Pana
Zalani łzami, uderzający ciołem
W pokorze wielkiej padłszy na kolana —
Wszyscy do Boga zawołajmy spolem.

Twą dobroć wielką — Panie nasz jedyny
Tylekroć znieważaliśmy grzechami,
Racz nam odpuścić wielkie nasze winy
I niechaj grzech już więcej nas nie plami.

Opracował M. Bieszczadowski

Autorstwo hymnu nie jest dokładnie stwierdzone. Przy-pisuje się zarówno św. Ambrożemu, jak i św. Grzegorzowi.

„To, czego ludziom potrzeba — to wyjąsnienie życia, całkowitego, bez niedomówień i odsyiania na później”.

A ty na to: — „Cóż to za wyjąsnienie, którego trzeba bronić przeciwko zdrowemu rozsądkowi”.

Oto wielkie słowa, Teofilu. Stagnęles twardo na gruncie Prawdy. A gdy jedna zawodzi, trzeba ją odrzucić jak przerdzewiałe żeliwo (to zdaje się, są także Twoje słowa) i szukać innej, właściwej, wyrzekając się wszystkich pancery i zasłon, nago iść i szukać.

Te słowa, Teofilu, uderzają w naszą wiarę opartą li tylko na uczuciu, nie pogiębią rozumowo, w której zdobycie nie angażuje się cała myśl człowieka. Masz więc sporo racji.

Ale czymże jest ów zdrowy rozsądek zachwalany przez ciebie, co wykracza przeciw niemu? Czy klasny empiryzm opierany na prywatnym doświadczeniu, czy instynkt, ten tzw. „chłopski rozum”, czy też to, co się sprzeciwia logice formalnej? A przecież przeżywanie Boga nie odbywa się tylko przy pomocy zmysłu wewnętrznych, czy też tylko na drodze spekulacji filozoficznej, myśli jasnej i precyzyjnej. A z drugiej strony ileż pomniejszy — może po-bolnie, ale nudnawli — teologowie nie namnożyli pseudozagadnień i naprawde dla przeciwnego człowieka nieistotnych problemów. Współczesna „walka o duszę” wbrew pozorom nie polega na walkach podjazdowych. Mniejszą niż by się wydawało rolę odgrywają w niej próby podważenia tego czy innego faktu historycznego, poddania w wątpliwość autentyczności tego czy innego tekstu.

Stanowisku oportunisty religijnego. Dla niego było to stanowisko wygodne. Lecz może to być również stanowisko nieoportunistyczne, szarpające i bolesne. Będzie ono takie wtedy, gdy nie zrezygnujemy z odpowiedzi, gdy poszukujemy odpowiedzi za wszelką cenę, mając oparcie w istocie wiary, gdy wiemy o Stworzeniu i Odkupieniu. I może tym większy wysiłek, wysiłek właśnie intelektualny, potrzebny jest, ażeby chronić prawdy najdroższe, ciągle poszukiwać i ciągle walczyć o cały skarb. Ile nagłych odstępień, odejść z pola walki po pierwszym uderzeniu zawdziejczymy tej właśnie naszej dotychczasowej dziecinniej ufności, że wszystko jest jasne, skoro tylko umiemy pacierz. Na pewno wiedza religijna jest nam bardzo potrzebna, ona uczyni naszą wiarę mocniejszą, głębszą. Ale nie może to być tylko wiedza wyjęta z przestarzałych apologetyk. One bronić prawd szczegółowych, gubią się w opowiadaniu na zarzuty, a są przydatne tym tylko, którzy pewni są Boga, którzy w Jego istnienie nie wątpili. Dlatego nie mógł ciebie przekonać ojciec, gdy już stanął na gruncie „nowej wiary”, nawet gdybyś otrzymał przekonujące odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Zrozum to, Teofilu, bo my to już zacytnamy dobrze rozumieć.

Nam przyszło walczyć od razu o całą stawkę, stawkę, która nie mieści się w całości w granicach dowodu naukowego i spekulacji intelektualnej. Wiem, że nie lubisz takich zdań, które mają tysiąc dziur i z tysiąca stron można je zaczerpić. Bo najpierw musi przyjść wiara. Jest ona tajemnicza, tak jak tajemnicza jest Łaska, na której musimy się oprzeć. I w tej nauce, „nauce o tajemnicach”, w samym wyrazie kryje się paradoks, znajduje się jądro naszej wiedzy religijnej. Wbrew

*) Ks. dr Piotr Chojnacki, „Podstawy filozofii chrześcijańskiej”. W.wa 1958. „Pax”. Używano w dalszym ciągu artykulu cytaty pochodzący wyłącznie z tej książki.

Z AKROPOLU I MŁODOŚCI

Cały nachylał się w przeszłość i chęć uchem łowić dzień przeszłości.
(Słowa cki: Fragmenty pamiętnika).

TWÓRCZOŚĆ pisarska Jana Parandowskiego jest w naszej literaturze zjawiskiem dość osobliwym. Rozciągnięta na niedoścignionych wyznach uświęconej przez krytykę doskonałości stylu (przedmiot wersalsko sztywnych wzruszeń), zamknięta bez mała w swej jednolitej perspektywie świata klasycznego pozostaje na cokole, odbiera wieńce jubileuszowych uroczystości i wysłuchuje złośliwych uwag ludzi często nie pozbawionych poczucia humoru.

Nie mam szczęścia znać osobiste znaczenie pisarza. Pamiętam jego wykłady uniwersyteckie; nie podobna było się na nie dostać. Zarliwym konsumentem literatury stałem się wtedy, gdy Jan Parandowski wyszedł z uniwersytetu, a profesor kontynuujący wykłady z literatury powszechnej zaczął swą pierwszą prelekcję od słów: „Głęboko współczuję państwu z powodu odjęcia wam tej satysfakcji, jaką przeżywa się słuchając wykładów Jana Parandowskiego”.

Dzisiaj stoję w ostatnim rzędzie zgromadzenia, które święci jubileusz, wysłuchuję podniosłych śpiewów i mam ochotę zapytać milicjanta porządkowego: „Hryčku, ładna piosenka, co?” Milczę, ponieważ tak nie odpowie mi: „Proszę si rozayść”. Patrzę tylko w twarz pisarza i w niej szukam nie olimpijskich blasków, lecz słonecznych błysków zegara, który przemierzył jego młodość i towarzyszy w marszu po tej wysokiej drodze, na którą pada cień „gałązki dzikiej oliwki”.

NA TARCZY SŁONECZNYCH GODZIN

DAŁECY dzisiaj jesteśmy od przysięgi Parandowskiemu poglądów wyznawanych przez postacie jego książek. Szanując prawa fikcji literackiej nie szukamy sobowtóra jego młodości w Teofilu Grodzickim. Nawet nad tarczą zegara pełną słonecznych pokus przechodzimy udając obojętność. Ważniejsze, jak się wydaje, są wnioski płynące jako natarczywa konsekwencja lektury w tym najogólniejszym znaczeniu atmosfery, upodobań, stosunku autora do przedmiotu. Sprzeniewierzając się bowiem uświęconemu tradycją prawom twórczości epickiej w powieści i opowiadaniu — nakazującym całkowite usunięcie się autora z pola widzenia (co ma gwarantować ów zupełny obiektywizm epicki) — Parandowski z pełnym sukcesem przeciwstawił się sakramentalnej zasadzie. Chodzi o delikatne demaskowanie swojej obecności przez wyraźne akcenty ustosunkowania się do przedmiotu.

Myszę o nader ciekawej roli humoru i ironii w konstruowaniu świata literackiej fikcji. One to sprawują, że epickie w założeniu utwory Parandowskiego poczynają zacierać swoje cechy gatunkowe, gnąc linię epicką w kierunku liryki i odwrotnie: bogactwo liryczny pomocy wartości epickich.

pozorem nie nauk historycznych, nie egzgezy, nie filozofii ustającej autentyzacji ksiąg świętych, ale właśnie nauki o Bogu, grzechu i Miłości, tej metafizyki najgłębszej najbardziej nam brakującej. Chodzi bowiem o stworzenie właściwych proporcji pomiędzy Prawdą wieczną a życiem doczesnym.

I tutaj oto leży kryzys, kryzys tego typu argumentacji, która obalając kosmogoniczną Biblię, zdawala się obalać Biblię, argumentującą kańczą pracownicą teologom wynajdywając znaki równania między dniami stworzenia najpiękniejszego poematu — Genesisa a poszczególne myśli epicko-geologiczne.

Słuchaj, Teofilu, widzę, że trochę się zrymasz, nawet Wajda-anarchista umiał dyskutować prawidłowo. Zdjaj sobie z tego sprawę, ale, mimo wszystko, posłuchaj.

— „Czyż tak mógłby wyglądać chłopiec, którego Bóg opuścił? — myślała matka, zachwyciona tym zrywem ogniem i zdumiona, że go wydała na świat”.

A jednak Bóg opuścił Cię, Teofilu. Duch opuszczający pokazał ci światło ze słowami: „To musisz zagarnąć”. Pamiętaj, że Jakub walczył z Penem. Ale „kto podnosi rękę na swoich rodziców, temu usycha dłoń”. I jedno, i drugie jest mądre, obie nauki płyną z tego samego źródła. Czyżby tu był jeszcze jeden z tych paradokсів, których tak bardzo nie lubisz?

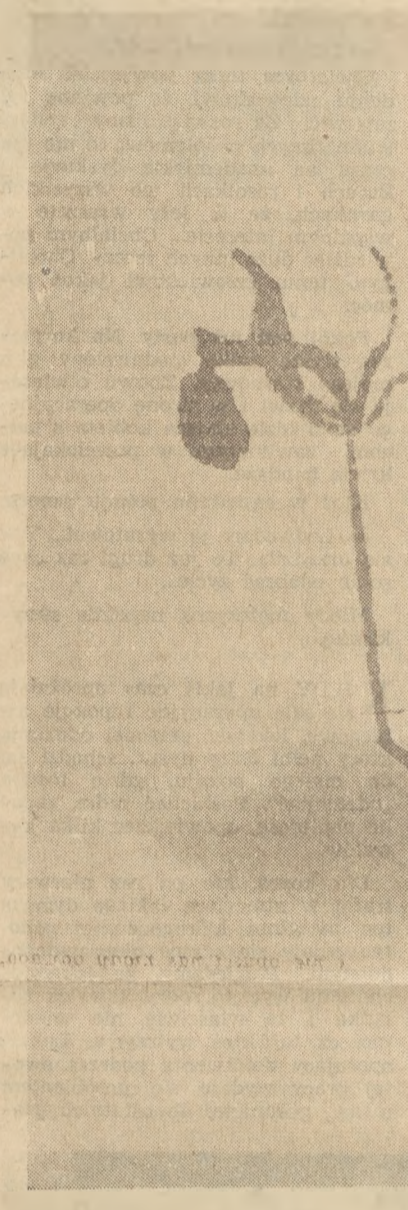
Przeżyj swoich znajomych, Teofilu, i powiedz, kto był winny temu stenowi, w jakim się znalazłeś. Spójrz na ludzi, jacy ci otaczali. Który z nich nie „rozłupał drzewa”, a który nie „podniósł kamienia”? Cdzie była ich „leńność” i skąd się ona brała?

Co powiesz o nas, za których podnoszą kamień, rozrupują drzewo i wstawiają, że nie się tam nie kryje (tobie mimo wszystko pckazywano jakieś tam młękwi albo jakiś tam ceter). Jak nazwiesz taki dramat? I co powiesz na to, że znów tłumy „leńnic” chcą być dla nas w tym dramacie partnerami.

Stoisz przede mną, Teofilu, a że

„Zegar słoneczny” i „Niebo w płomieniach” — bo o nich teraz mowa — pamięta się niepolińczoną ilością najdrobniejszych epizodów, scen i dialogów. Z wyjątkową wyrazistością brzmią słowa Nastki, gdy wbiegła do domu z krzykiem: „Zgubiłam dziecko, proszę pani, idę się topić” i ślepej Miñci, która na pytania uliczników: która godzina — rzucała niezmiennie opryskliwie: — „Twoja ostatnia, baciaru!” Widzimy oczyma naocznych świadków dziadka — stałego konsumenta wesolego barszczu, lampę z „umbrą”, umierającego Kościuka, profesora Kalinę, Rojka i dra Kosa, a nade wszystko babkę — najkonkretniejszą, a zarazem najbardziej mityczną oś „Zegara”.

W przemijającej lekturze Parandowskiego nie wiadomo, co bardziej podziwiać: czy szopkę pojawiających się postaci, czy najczystsze, autentyczne pogłosy starego Lwowa, czy mistrzostwo humoru i liryki, czy pośrednictwem których siwa dziadowska broda kojarzy się ze św. Mikołajem, a każdy zakręć



Rozmowa z Teofilem („Niebo w płomieniach“)

codziennych zdarzeń potrafią wciągnąć czytelnika w pasjonujący świat wielkiej przygody.

W „Zegarze słonecznym” wielka przygoda zostanie zamknięta w cyklu opowiadań złączonych osobą bohatera. Mając lat kilka dochodzi do rozumienia rzeczy najprostszych. Wzrost jego doświadczenia życiowego od chwili, gdy wziął po raz pierwszy książkę do ręki, do maturalnego tableau zastępuje ciągłą interesującą akcję, poprzestając na niezwykle barwnych i dramatycznych jej epizodach.

Pełne pogody i humoru opowiadania, takie jak „Niebieskie rachunki”, „Dziadek malowany” czy „Powrót bajek” bywają dla autora okazją do pe'azania wielu ciekawych szczegółów obyczajowych: epizody z durnym Jasieniem, z jakimś z kwaterek nafty, bo pieniądze nie ma w domu, z panem Lelem z ludźmi śpiącymi w Ogrodzie Jezuitów („Lisy mają swoje jamy i ptaki niebieskie swoje gniazda, a Syn Człowieczy nie ma gdzie by głowę skłonił“).



Rozmowa z Teofilem („Niebo w płomieniach“)

Lwów zaludniają ludzie wszelkiego bez mała stanu i kondycji. Wśród nich zaś na czoło, mimo swojej epizodycznej roli, wysuwa się jedna na pół smieszna, na pół tkliwa postać: profesor Rojek. Za jego pochylonymi plecami rozpościera się właśnie Lwów inny niż ten, w którym żyje Hofrat Albin Grodzicki i ksiądz Grodz czekający na kanonik wraz ze śmiercią kanonika Paliwoy. We Lwowie prof. Rojka „w ulicy Ujejskiego latarnia ukryta za drzewem zmieniła jego puszystą koronę w fantastyczny krzew srebrnozielonego blasku”, a „Gdzieś u końca Technicznej, w mrokach ogrodu Jezuitckiego, mandolino wydzwaniaty tango”. Ten Lwów był zamieszkały przez starych antykwariszy Iglów i siostry księży, „które zez, wysunięta szczyka o dużych złotych zębach i odrępczający charakter uratowały od utraty panienstwa”. Z tego Lwowa młodość wieje czas wrony napełniony tykaniem „Słonecznego zegara”. Zawiewa znajomy zapach szkolnego kurzu, pod którego warstwą niesposob domyślił się naj-



Rys. Gabriel Rechowicz

hą, bo dotycząca nie tylko „Nieba”, ale i stuzumienia przez Parandowskiego spraw ziemii, a w szczególności spraw człowieka, którego obraz został jakoby skrzywiony w lustrze nieodrobnej ironii.

„Wydaje się” — pisze krytyk — „że jego (Parandowskiego) dystans wobec bohatera i jego perypetii duchowych, podobnie jak wobec innych postaci książki, polega na ironii. Wszędzie, gdzie Parandowski wprowadza momenty ideologiczne — a wprowadza je bardzo często — gdzie sięga poza opisowość, liryzm środowiska lub pewnych przeżyć — ironizuje”.

Fakt ten według recenzenta uniemożliwia czytelnikowi przejście się przezyciami Teofila i niweczy wiarę w szczerść jego walki. „O ile humor” — kontynuuje Silverster — „jest wyrazem postawy, w której widzenie słabości, śmieśności, czasem i nędzy ludzkiej łączy się ściśle z poczuciem solidarności z człowiekiem, o tyle ironia podchodzi do tych samych zjawisk z góry”.

To stwierdzenie prowadzi z kole-



Rys. Gabriel Rechowicz

dzie, od a do z, ale on sam nie był drogowskazem”.

Już od młodości, która sama w sobie stanowi owo magiczne „ziano niewiadomego”, prowadzi Parandowski swoje pióro w obranym na stałe kierunku.

Przywiązany do antyku od czasów gimnazjalnych, kiedy do ziemi hellenskiej udawał się pod przewodnictwem „Ruscheira” (którego jeśli nie znał w carości, to dlatego, że wydawnictwo tej ogromnej encyklopedii mitologii antycznej nie było jeszcze ukończoną), odwiedził wreszcie Ateny, by u stóp Partenonu kończąc lat trzydzięci uswadomić sobie powołanie, sens i cel swego zawodu. Cdał świat klasyczny wszedł do twórczości Parandowskiego nie jako jej motyw, lecz najistotniejsza substancja.

Fakt ten już w okresie dwudziestolecia wywoływał ogólny sprzeciw. Mimo wielkiej kultury, jaką technicznie posiadał Parandowski, nie umiano darować mu omijania tematyki „współczesnej i odsunięcia się od „rzeczywistości”. Tu zapewne należy upatrywać genyzy wystąpienia, które miało za zadanie sformułować teoretyczne podstawy poetyki, odrzucającej „rzeczywistość” — jako ową wrzącą magmę płynnego dziś.

Parandowski nie chciał być re- portażystą chwytającym życie w trakcie procesów, przez które ono przechodzi. Będąc powieściopisarzem wymagał dystansu czasowego, a w wyborze jego długości odwoływał się do osobistej opinii pisarzy: „N.e jest potrzebne, by pisarz w pospiechu i gorączce chwycił moment współczesny, jakby gnany trwozą, że się spóźni. Przeznaczeniem pisarza będzie zawsze iść za głosem wewnętrznej konieczności i powierzać swoim książkom to, co go najgłębiej dotyczy, boli, zdumiewa, raduje, wzrusza w losie człowieka i beżmarze świata, a jeśli wypowie szczerze i z całym oddaniem tę część piękną, którą go Bóg obdarzył, można być pewnym, że i współczesność w nim się rozpozna, i przyszłe pokolenia w jego słowie usłyszą ton jego czasu”.

A dalej: „Pisarzowi jest obecne, a nawet niezrozumiałe dzielenie rzeczy ludzkich na takie, które są godne jego trudu dlatego, że dumni w nich echo spraw dzisiejszych, i na takie, które rzekomo stały się obojętne, ponieważ należą do innych, przebrzmiałych stosunków. Na całym obszarze naszego globu i w całym obszarze czasu, przez który szedł człowiek, mieszkaniec ziemi, nie ma rzeczy ludzkiej, która nie byłaby warta strofy lub karty piękniej prozy. I to jest właściwy sens humanizmu”.

Nie mógł przecząc w roku 1946, gdy to wysokie uogólnienie przebrzmiało w murach auli Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, że już za kilka lat będzie musiał w swoim przemówieniu kongresowym w Wenecji powiedzieć słowa, które będąc w najzupełniejszej zgodności z jego pisarskim sumieniem wejdą w małą, zewnętrzną kolizję z poprzednimi. Trzeba lojalnie zaznaczyć, że chodziło o rzecz nie byle jaką — bo o pokój. Parandowski wygłosił wtedy takie słowa: „Większość pisarzy, chociaż udaje zainteresowanie i udział w troskach naszej doby, nigdy nie dostrzega sposobności, by bodaj słowem dotknął najważniejszego zagadnienia ludzkości — zagadnienia pokoju (...)

Wojna zawsze umiała rozpaść dusz ludzkie, znajdowała potężne dźwięki w instrumentach poetyckich (...)

Wobec literatury wojennej literatura na chwałę pokoju jest anemiczna, oziębła, o słabym oddechu”.

Mimo pozornej niekonsekwencji tych słów Parandowski nie sprzeniewierzył się swoim fundamentalnym zasadom wypracowanym wiele lat temu. Stał się bowiem znów humanistą po stronie człowieka, w obronie jego podważonej i zachwianej godności, bo — jak powiedział na swoim jubileuszu — „Człowiek — oto główny, naczelnny temat moich ksiązek. Nie dla mnie nie może się z nim równać. On tylko naprawdę mnie zajmuje, wzrusza, weseli, lub martwi — we wszystkim, czym był, czym jest i czym może być. Żyję z nim od pierwszych jego dni, szukam jego śladów, na pierwszych ścieżkach wśród lodowców i skał, nie jest mi obojętny żaden zakręt drogi, jaką szedł człowiek przez stulecia (...)”

Towarzysząc mu w jego wędrówce po tym wirującym globie zdobyłem przekonanie, które mnie nigdy nie opuszczało, nawet w najczarniejszych momentach tego, co nasze pokolenie przeżyło lub czego się lekka: że siły twórcze są zawsze potężniejsze od sił niszczących. We wszystkim, co piszę, bądź wprost, bądź przenośnie, wypowiadam to przekonanie razem z moją wiarą w człowieka.”

Rys. Gabriel Rechowicz

Patrzeć oczy dziecka mają przy tym nieoszacowaną wartość tak literacką, jak i moralną. Literacką, bo pod wzrokiem małego obserwatora chwieją się właściwe rządzące życiem prawa, wyzwała się zaś cały ładunek humoru, który płynie z nieporozumienia, naiwnej niewiedzy i pogodniej kolizji dwóch światów: dziecka i dorosłego; moralną, bo cały świat ludzi upośledzonych i biednych oglądany „udziwniającym” spojrzeniem małego chłopca poczyna zasnawać niebieska mgła współczucia i dobroci: „Nie policz was wszystkich, którzyście zatrzymywali moją dziecianną wyobraźnię (...) — pyszni lub opuszczeni, dworacy i pacholcy. Szlęgani pogardli lub gorszą od niej litotścią, odrępczeni międzakiem lub zeschłym chlebem, gdy wam głód przypomniał o pospolitym życiu, niustraszeni w swej niepodległości, wyłańialście się zawsze w porę, by strojem, wyrazem twarzy, gestem, słowem — zaniepokali rozsądek idący na poobiedni spacer”.

„Zegar słoneczny” jest kawałkiem jasnego kryształu, odbijającego stary Lwów w jego najżywszym i najbarwniejszym kształcie przeszłości. Nie jest winą małego Dunka, że dził wszystkie te postacie opronomie mu legenda rzeczy dawnych i drogich, która odwraca rzeczywistość proporcje faktów, jest zaś zasługą Parandowskiego, że nawet upożytkowane fakty zalamane w kryształowym pryzmacie najmiłszego humoru i najsutelniejszej liryki jawią się w całej ostrości rzucając postrzępiony i bolesny cień na tarczę „Zegara”.

Tak więc humor tej książki stał się najwyraźniejszym czynnikiem konstruktywnym: odszczalcił na wskrosz liryczne założenie opowiadań w kierunku epickim, ponieważ stworzył ów konieczny dystans, który pozwalał kpić z rzeczy najbliższych i drogich, pozostawia jednakże zarazem tylre ciepła, by przedstawioną świat uchronić od okłiwłości, a napędzić tonami subtelnej liryki.

WAJZUFELNIEJ podobna podziwienność scenierzy wprowadza nas lektura „Nieba w płomieniach”. Stajemy często ze zdziwieniem wobec łatwości przerzucania się autor z referencji zawilczył kwestii filozoficznych do narażonej oparych na codziennym doświadczeniu, które „na cło” wydaje się niedostępne dla profesora. „Czy

tkliwszej przyjaźni prof. Rojka z Teofilem rozkrzewiającej się w gąszczu greckich słówek i heksametrow.

Są wszakże w „Niebie” i epizody gruntujące się w pamięci czytelnika ostrym, chociaż mniej przyjemnym rysem. Z wyjątkową plastyką rysują się te sceny, kiedy w plenerze starej antykwarisni rozmawia Teofil z nieznanym „filozofem” o najgorętszych sprawach swego umysłu. To zasadniczy rozmów, w których przechylają się szala obarczone ciężarem niewymiernych racji, jest zawsze w Parandowskiej precyzyjne przemysłane. Wstarczy przypomnieć moment nerwowej rozmowy prof. Kaliny z chłopcem, kiedy to astronom w podniecieniu zamachał rękami, a „język cień na ścianie spróbował lotu jak olbrzymi ptak”. Warto pamiętać, że podobna rozmowa ojca z synem prowadzona była w ciemnym pokoju, a tylko po ścianach migały fantazyjne refleksy mroku i światła ulicznych latarni. Wśród takiego uduwniającego tła i niemiędlę dzwinych ludzi poczyna odzywać się nieznaną z poprzedniej lektury dźwięk. Z czasem zacznie on dla niektórych zgrzytać dokuczliwym dysonansem. Dokąd ta rzecz będzie odnosić się do niesfornego „straflika”, który uciekł prof. Kalinie, nazwiemy ją jeszcze humorem. Jeśli okaże się, że prof. Kalina korzysta tylko z tych ksiązek swojej biblioteki, które stoją z brzegu, bo tam w głębi dzwignęła — przyjmijmy to już jako element satyry. Satyryczna będzie rozmowa Teofila z ojcem, kiedy to główne credo seniora brzmi: „ucz się pilnie, bo to ci da kawałek chleba, ale nie masz obowiązku wierzyć w nie oprócz tego, co Kościół katolicki podaje do wierzenia”. Ta właśnie sprawa stanowi centrum wstistkiego, co dzieje się w książce. Na zaszwałe i gnuśne tło życia zakrzepłego w pozornym ruchu rzuca autor rewolucyjny konflikt Teofila oświetlony płomieniami nieba i podkreślony retuszem znów wielkiej, choć tym razem intelektualnej, przygody.

I tutaj ma korzenie nas stosunek do przedstawnego świata, problem rzadko pojawiający się w omówieniach tej książki. Znalazł się raz tylko jako kościec szkieletu „Niebie” napisanego w roku 1926 przez krytyka, ukrytego w „Verbium” pod pseudonimem Silverster. Chodziło o rzecz wcale nie bla-

do zarzutu, z powodu którego sam krytyk zdaje się ubolewać. Odnosi wrażenie bowiem, „jakoby ironia była ucieczką autora od powagi i tragizmu ludzkiego losu, a jego humanizm — humanizmem czysto formalnym, w którym właściwie nie ma człowieka”.

Dowodów na to, że przytoczone wywody nie odpowiadają prawdzie, właściwie nie ma. Te same wszakże elementy tekstu dają się inaczej interpretować. Nie mało jest czytelników „Nieba”, dla których tak cień prof. Kaliny ptakiem zrywającym się do lotu, „jak i złościwa tasiemka ośmieszająca go w czasie najgorętszych wywodów filozoficznych są wyrazem niemoicy i szamotania się człowieka.

Stąd ironia Parandowskiego tyczyłaby się nie szermierzy idej, lecz byłaby ironią skierowaną w ogóle do człowieka, a raczej jego słabości, od której i autor nie czuje się wolny. Byłaby to ironia przeciw niedoskonaleści przygniatającej godnie wyprostowane plecy człowieka. I tak też ironię rozumiem.

Oto w pobieżnym rzucie z góry przemknęły książki Parandowskiego oparte na „autentycznej fikcji”, gdzie na drodze nie deklaracji, lecz delikatnych sugestii znalazł swój pozytywny kształt stosunek pisarza do spraw ludzkich. Postawa jego ujawnił się powinna była tym wyraziściej, że referowany tu kierunek tematyczny jego twórczości przenikał liryzm osobistego zaangażowania się lub separacji. Wędrowaliśmy dotąd przez kraj żywy. Dopiero teraz otwiera się przed nami kraj posagów i kamieni, które nie będą wolać i wśród których szukanie tropów człowieka nie będzie łatwe.

„GAŁĄZKA DZIKIEJ OLIWKI”

NIEDOPARCIE narzuca się ten fragment opowiadania „Róża i pióro”, gdzie mały chłopiec zaczynając „wzniosłą sztukę pisania” dotknął końcem stalówki pierwszej czarwanej linijki u góry strony. „Po chwili odjąłem pióro i został po nim drobny punktik — ziarno niewiadomego. Można było pójść od niego w górę albo w dół, gotów był również przyjąć kierunek na prawo i dać życie ukłoniętej (...)

Z tego punktu prowadziła droga wszę-

W S Z P T A L U

— Widział pan brud? — pada szybko, urwane pytanie.

— W każdym razie nie widziałem lśniących podłóg, słońce i bardzo czystych korytarze...

— A czy chciałby pan pracować w takim szpitalu, powiedzmy, jako pielęgniarka?

— Nie.
— Czemu?

— Po prostu dlatego, że wolałbym się nie przyzwyczajać do szpitala. Nawet w uniformie pielęgniarki.

— A jak pan sądzi, jaką pracę ma pielęgniarka?

— W każdym razie nie najprzyjemniejszą.

Starszy mężczyzna uśmiecha się na tę odpowiedź. Najwidoczniej daleko mi do prawdziwego poznania szpitalnego życia. Albo uciekam się do usług bardziej grzecznego słownika niżby tego wymagała okoliczność.

— A wie pan, ile zarabia siostra? Jedną z wykwalifikowanych siostr? Po kilku latach nauki? Otóż siostra taka zarabia 794 złote netto. Dodajmy, że nie ma bynajmniej przyjemnego życia. Kiedy jest dyżur trwający 24 godziny, nie wolno jej oczywiście wyjść na obiad, kolację. Nie wolno także korzystać z kuchni szpitalnej... Przez 24 godziny człowiek musi jeść. Pozostają nie zjedzone reszki dań przeznaczonych dla chorych i zabrane ze sobą suchy prowiant... Z siostr pracujących w szpitalu wiele bierze sobie prywatne dyżury. (Jeden taki prywatny dyżur kosztuje 100 złotych i trwa osiem godzin). Następnego dnia trzeba przynieść do pracy. Kilka nocnych dyżurów prywatnych na pewno odbija się na stanie zdrowia i możliwościach dzwicznicy pracującej w szpitalu... ale dyżury takie ratują domowy budżet.

Nie dziwicie się zachłanności niektórych posługawek, kiedy teroryzują was koniecznością udzielenia dodatkowych pieniędzy z waszej prywatnej kieszeni. Nie dziwicie się, jeżeli będnicie chcieli mieć spokój.

Krepy mężczyzna przerywa na chwilę swoje opowiadanie, podchodzi do drzwi, wychyla głowę na korytarz i znowu siada na łóżku. Za moment do pokoju wchodzi młoda dziewczyna w białym czepku. Sympatyczna, pulchna blondynka załotnie uśmiechająca się w stronę lekarza. Nie bardzo wie, o co chodzi. Poprawia ręką kosmyki jasnych włosów wymykające się spod czepka i siada na wolnym krześle. Dalej rozmawiamy w trójkę.

— Salowa w szpitalu (także nie najprzyjemniejszy rodzaj pracy) po codziennych 8-godzinnych zajęciach zarabia miesięcznie 450 złotych, pielęgniarka „oddziałowa” 600 złotych miesięcznie, młodsza pielęgniarka 550 złotych miesięcznie, sprawa lekarzy to jeszcze jedna z bardzo ważnych spraw.

— No dobrze, ale jak pan konkretnie układa sobie życie?

Dziewczyna patrzy najpierw w stronę lekarza, później wzdycha i mówi spokojnie:

— Jakoś tam trzeba sobie dać radę...

Do drzwi ktoś puka. Kilka nerwowych urywanych stuknięć. Lekarz i siostra wychodzą na korytarz. Znowu jestem sam w zaciśniętym pokoju. Porządkuję zebrane dotychczas wiadomości.

Rozumiemy epokę i jej konflikty. Nieraz jest to twarda wiedza. Rozumiemy człowieka żyjącego w tej epoce. Mówimy, piszemy, wykiścimy się o takie sprawy tylko dlatego, że r o z u m i e m y .

Postawmy jednak pytanie: — Jakie warunki trzeba stworzyć ludziom, którzy walczą o zdrowie górnika, hutnika, stoczniowca, inżyniera, do diabła: o nasze zdrowie? Czy praca tych ludzi nie jest tak samo odpowiedzialna, jak praca choćby tych najpotrzebniejszych? Na pewno jest równie odpowiedzialna. Czy wymaga mniejszego wysiłku nerwów, mózgu, rąk? Na pewno nie. I dlatego to jest problem. Nie można wszystkim wkładać do garnuszka codziennego smakowitego koguta. I nie o koguty w gruncie rzeczy chodzi...

Operacja w sąsiedniej sali dobiega końca. Słyszę przez ścianę charakterystyczny szelest wody. Dwaj chirurdzy zdejeli gumowe rekawiczki i w tej chwili pochyleni nad umywalką komentują szczegóły operacji.

Przez zastawiony łóżkami korytarz biegnie w stronę naszego pokoju stary człowiek w narzuconym na plecy brudnym fartuchu...

Na parę godzin przed odejściem kolejnego elektrycznego pociągu z cichego dworca w Otwocku kilku młodych mężczyzn w Józefowie otwierali drzwi do małej, drewnianej willi.

W zaciśniętym, ciepłym pokoju z żelaznym piecykiem przystąpiono do zorganizowania małej libacji. Szczupła kobieta w kwiecistym szlafroku krajala grube kawałki kiełbasy, jeden z mężczyzn odkorkowywał butelkę. Pierwszy toast spełniono w milczeniu. Starszy, wytrawny alkoholicy w swoim gronie nie zwracają uwagi na towarzyskie konwencje. Do toastów doczło dopiero po wypiciu pierwszej brtelki. Najpierw pito z obrydliwą wylennością pod grubą warstwą szybkiego mężczyzny i lisyjającego kota gospodyni. Pcd co się dało. Potem zaczęło pić pod dobre zarobki.

Po kórejś z rzędu szklance zaczęła się awantura. Było już ciemno. Na dworze za oknami szeleściły oszronione drzewa.

— Za oszusiwa — powiedział wstawszy ze swojego miejsca jeden z mężczyzn. — No, pij, Pawełku, za oszusiwa...

Zrobiło się cicho. Człowiek na-

wany Pawełkiem podniósł metodycznie oczy w stronę stojącego.

— Jak to? — zaczął.

Zamiast odpowiedzi posypały się szybkie uderzenia w twarz. Kobieta w kwiecistym szlafroku opowiadała, że mężczyźni się posprezeczali, jak to zwykle bywa przy wódecie, że mówili coś o gnidach i że ta gnida miał być Pawełek. Potem wyszli na dwór z drewnianej willi. Ale zachowywali się nalezyście. To znaczy jej kuzyn, organizujący libację, zachowywał się przyzwoicie. Nawet poszedł tamtych odprowadzić, bo było ciemno.

W kilka godzin później jeden z robotników wracających do domu znalazł na torze elektrycznej kolejki nieprzytomnego człowieka. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że człowiek ten jest niemal kompletnie rozebrany i że ma potrząskaną głowę. Wystarczyło kilka chwil, żeby przekonać się, czy żyje.

Przez gęsty śnieg przesunęły się za zakrętem światła elektrycznego pociągu, który odszedł z

przekonaniach — to jest człowiek, który w dostatecznie oszczędnej stopniu opanował tajemnice swojego zawodu, który nie dokonuje brzydkich operacji i nawet (jeżeli tego wymaga przykra okoliczność) rezygnuje z honorarium na korzyść uboższego pacjenta. Poza tym posiada wygodny dom, własny gabinet i poczekalnię z nowymi czasopismami na stolikach. „Uczciwy” człowiek „uczciwą” pracą dorabiał się jeszcze nie tak dawno wcale pokaźnych dochodów. Nie gniewał się za ten cudzożytny przed uczciwością. „Uczciwy” lekarz miał stałych, dobrze placących pacjentów, którzy często zapadali na zdrowiu i dla których był w miarę wyrozumiały. Urzędowo praktykę „uczciwy” lekarz ograniczył do kilkunastu godzin dyżurów w szpitalu. Tacy to byli dawniej (a wyobrażenia o podobnych „ideałach” tkwią po dziś dzień) lekarze, o których nie można powiedzieć „złego słowa”. Ci z nich, którym nie udało się zdobyć dobrej praktyki, przesiadywali z konieczności w gabi-

ny na ostrym dyżurze mówi o tym z całą słuszną troską.

— O moralności lekarza opowiada się na masowych zebraniach. Wtedy wszyscy bywają zgodni z referowanymi poglądami. Bardzo często śmieją się stare marzenia. Rozumieją ich konieczność nowej pracy w nowych warunkach. Są pełni dobrych zamiarów. Przeksztalcają swoje marzenia, ale zaraz później przychodzi rozczarowanie. Niech pan posłucha. Często w prasie podaje się wysoką pensję uzyskiwaną przez legalnie pracujących chuliganów. Niekiedy pensje takie w 1939 roku 2000 złotych. To bywają „legals” zarobki. Ci młodzi ludzie, którzy wędrują nieraz za krtaki — to są wykwalifikowani specjaliści. Po kilkumiesięcznych kursach. Lekarz po 5-ciu latach studiów i przydziale pracy uzyskuje na prowincji legalny zarobek w wysokości około 1000 zł. Jaki jest tego skutek? Dorabianie. Pólatek, nadgodziny... Przemęczenie, brak czasu na dokształcanie. Tu tkwi kapitalny problem. Żyby nasza walka ze starymi przesiadkami była skuteczna, potrzebna jest jakaś mądra zmiana tego stanu rzeczy. To jest właśnie sprawa perspektyw. Jak pan myśli, czy taka sprawa da się załatwić?

— Patrzę teraz na oświetloną latarniami ulicę. U wylotu szpitalnego wjazdu pojawiają się ostre światła samochodowego reflektora. Za chwilę z mroku wylania się srebrne pudło karetki.

— Czy da się załatwić?...

Chciałbym teraz powiedzieć młodemu człowiekowi, że powinna się załatwić. Ze rozwiązaliśmy tysiące trudniejszych problemów, że nie ma czasu na akademickie dyskusje o kurach i rosółkach we wszystkich garnkach, że tak wchodzą wreszcie w wspólne interesy... Chciałbym powiedzieć dużo innych rzeczy. Chciałbym temu człowiekowi jakoś pomóc.

Pokój jest już pusty. Na korytarzu słyszę tylko podniesiony głos mojego rozmówcy. Znowu otwierają się drzwi i w stronę operacyjnego stołu idzie starsza kobieta z palmami zawiniętymi w przeciekające krwią bandaże.

Ktoś w sąsiednim pokoju szepce: — Ledwośmy ją wyratowali. Tak się urządziła. To już drugi raz chce sobie odebrać życie...

Młody mężczyzna napełnia strzykawkę.

KILDY na jakiś czas opróżniają się sale operacyjne i pokoje zabiegowe, lekarski personel oddziału, który pełni ostrego dyżura, schodzi się do małego pokoju, gdzie można „odetchnąć”. Posłuchaj radia, zapal papierosa, opowiedz kilka kawałków.

Dla kogoś, kto po raz pierwszy trafia w atmosferę takiego dyżuru, ten margines kilkunastogodzinnej roboty wydaje się czymś nieprawdopodobnym. Powiedzmy, że jakimś choremu wycięto spory kawałek żołądka i że właściwie nie wiadomo, czy taki ktoś wytrzyma. Lekarz operujący delikwenta podczas swojej pracy wydaje się uosobieniem uwagi, posuniętej do ostatnich gra-

na sie śmiać sztucznie, urywaniem śmiechem.

— No, czego, do diabła, tak skapanie? Ta kobieta działa usypiająco...

— Jest w jego śmiechu coś z wielkiej ucieczki. Tu bywają, proszę państwa, spacery na pograniczu życia i śmierci. Trzeba mieć silne nerwy. Nieraz śmiechem jest ratunkiem. Przecież zmezczeniu i przeciwnie bardzo ludzkim trwogom.

P z o r w a t r w a k r ó t k o . Z n o w u z o s t a j e z n i s k i m . K r e p y m e Ź c z y n o . Z n o w u z a p a l a m y p a p i e r o s a (k t ó r y t o z r e d u p a p i e r o s n a d y Ź u r z e ?) i z n o w u c z u j e n a s o b i e i r o n i c z n y , z g r y Ź l i w y u ś m i e c h .

MROCNZY budynek wojewódzkiego sądu. Szeroki korytarz wypełniony tłumem rozbieganych interesantów. Przed kioskami z papierosami schodzą się starzy bywalcy sądu. Rzeczywista grupa podekscytowanych kobiet i mężczyzn.

— Co dzisiaj ciekawego?

— Na pierwszym piętrze sądzą zbroców. Ale sprawa toczy się przy drzwiach zamkniętych...

— I co jeszcze?

— Sądzą lekarzy.

— Coś takiego. No, wiadomo, ci dżinsiarzy...

Jeszcze krótka wymiana zdań i tłumek przesuwa się w stronę sali, w której „sądzą lekarzy”.

Na lawie oskarżonych kilku mężczyzn i jedna kobieta. Sąd przysiępuje do przesłuchania świadków. Oskarżenie jest bardzo poważne. Zeznaje młody dentysta.

— O godzinie trzeciej nad ranem zgłosił do mnie młodą zdegenerowaną kobietę. Bagała o pomoc dla męża. Podobno wymiotowała kałem. Na moje pytanie, czy była w Pogotowiu, kobieta odpowiedziała, że tak, że poza tym odwiedziła kilku lekarzy, ale żaden nie chciał przyjść... Zabrałem kilka znieczulających zastrzyków, strzykawkę. Nie było czasu. Kiedy przyszedłem do mieszkania chorego, był już w agoni. Zastrzyki wbiłem w trupa. Skręć kiszek. Okazało się, że w Pogotowiu kobieta rozmawiała z jakąś dziewczyną, która dała jej proszki i radziła rano udać się do rejonowego lekarza z prośbą o zwolnienie. Inni lekarze nie chcieli przyjść do chorego. Jeden był po całonocnym dyżurze i pracował w dzień, drugiego z nich nie zastała w domu. Okazało się, że w pogotowiu lekarz spał a zgłaszającą się kobietę przyjęła dyżurująca studentka piątego roku. Studentka myślała, że to z przejeźdzenia i nie chciała budzić zmęczonego lekarza. Karetkę przyjechała do trupa. Rano...

Podezas przerwy tłumek kibiców w oczekiwaniu na wyrok komentuje szczegóły sprawy.

— Dlaczego ten drań nie chciał przyjechać do umierającego człowieka? Wiadomo, tacy są dzisiaj lekarze. Wszyscy jednakowi. Jeden podobny do drugiego.

— Słyszeliście: był zmęczony... Nie poszedł, bo mu nie obiecała grubszej forsy...

— Czy tamten lekarz był zmęczony?

— Czyżbyście on naprawdę powinien przyjść do chorego? Żadne zmęczenie go nie usprawiedliwia. Z tego, co mówiła młoda kobieta, wypadek był poważny. Ale ile takich poważnych wypadków okazuje się w konsekwencji fałszywym alarmem?...

Lekarz był zmęczony. Nie zmęczony go prywatna praktyka, na której zrobił dobrą forę. Gdyby pracował o kilkanaście godzin mniej tygodniowo, gdyby nie potrzebował dorabiać, gdyby mógł więcej czasu poświęcać własnej osobie. Lekarz z jednego opisanego procesu był zmęczony. Nie pomogliśmy temu lekarzowi w zorganizowaniu swojego życia.

Krepy mężczyzna mówi:

— Poza wypadkami zawodowej nieuczciwości spotykamy się z szeregiem dużo poważniejszych problemów. Poważniejszych w skutkach. Przed wszystkim sprawa oposażeń. Delikatna sprawa, o której nie mówiliśmy dotychczas otwarcie. Sprawa komplikująca pracę lekarza i obniżająca jej wydajność. Brak kredytów na remonty i budowę szpitali. W dotychczasowej dyskusji nad zadaniem Planu 5-letniego o inwestycjach przeznaczonych na rozwój sieci lecznictwa zamkniętego mówiono bardzo mało. Za mało wobec ogromnej skali potrzeb w tym zakresie. Brak nowych instrumentów. Wyposażenie jednego chcącaby oddziału chirurgicznego pozostawia wiele do życzenia. Operujemy starymi przyrządami. Wszystkie te sprawy są na pewno dużo ważniejsze od wychwałowej akcji, jaką przeprowadzamy na salach sądowych...

Krepy mężczyzna ma rację. Zrobiliśmy dotychczas dużo w trosce o zdrowie obywateli. To są fakty, które nie wymagają wylizcia. Ale musimy zrobić jeszcze bardzo wiele.

ZEGAR na korytarzu zapowiada jeszcze kilka godzin dyżuru. W stronę zabiegowego pokoju przesuwa się nara ludzkich sylwetek. Dwóch oszronionych pielęgniarek wnosi nosze na piętro. Jeszcze jeden nagły wypadek. Piłajny mężczyzna pokiereszował nożem swoją rodzinę. Na piętro wnosi żonę tego człowieka. Była w ósmym miesiącu ciąży. Koniec w brzech. Poćnienie. Słabe nadsiędnie na obrót do zdrowia... Lekarze pochylają się nad stołami operacyjnymi.

Krepy mężczyzna nakłada maskę. Za chwilę znika w sąsiednich drzwiach.

Władysław Lech Terlecki

Dokończenie ze str. 1

Otwocka o godzinie 20 z minutami. Trzeba było wywiec z szyn rannego. Pociąg przejechał z trzaskiem. W wagonach ludzie czytali gazety, paliли papierosy i rozmawiali ze sobą o różnych sprawach.

Mała karetką pogotowia zatrzymała się przed budynkiem szpitala, w którym odbywał się właśnie ostry dyżur, w kilka godzin po „udanej” libacji w Józefowie.

NA RAZIE poczekalnia jest pusta. Dwóch przyszłych do wsi podwarszawskiej wyklóca się z pielęgniarką o przyjęcie do szpitala.

— To jest, proszę pani, poważna sprawa. Do szpitala powiatowego w swoim mieście to ja nie chcę jechać. Jeden z takich jak ja, to znaczy — on miał takie same bóle — umarł po operacji w tym szpitalu i ja nie chcę. No, niech mnie siostra wpuści, to ja wszystko wytumaczę.

Starsza kobieta wychyla się ze swojego miejsca za biurkiem.

— Tu jest, proszę pana, ostry dyżur. Przyjmujemy tylko takich, którzy muszą mieć natychmiast operację. Natychmiast.

— A ja muszę mieć. Kiedy właśnie ja muszę...

Starsza kobieta jest zdenerwowana. Podpiera głowę i mówi wolno, rozwlekło.

— Tu jest ostry dyżur. Pan przyjechał o własnych siłach i czuje się pan dobrze. Ma pan czas na operację. Zresztą operować pana mogą w powiatowym szpitalu. Tutaj też taki sam, co miał bóle, i umarł, proszę pana. Wszędzie jest jednakowo...

Mężczyzna nie ustępuje.

— Kiedy ja przyjechałem ze wsi i nie mam gdzie spać i nie mam żadnego pociągu...

Dyskusja zaczyna się przeciągać. Wracamy do zabiegowego pokoju. Z okna widać roziskrzony wieloma światłami drugi brzeg miasta. Duży, czerwony neon świeci na wysokości granatowięjącego nieba. Rozmawiamy



Fot. W. Zdarski

o lekarzach. Wysoki student uśmiecha się z zadowoleniem. Lubi mówić o ludziach pracujących w przyszłym jego zawodzie. Poza tym opowiada także o sobie. Bez fanfaronady, bez błyskotliwych wynurzeń na temat powolania i poświęcenia. Rzeczowo, po prostu.

DLA wielu ludzi zawód lekarza kojarzy się jeszcze z wspaniałą, pełną światnych materiałów perspektywą kariery, która zapewnia zawsze uczciwemu człowiekowi spokojne i przede wszystkim dostatnie życie.

Jeżeli powiemy kemuś, że znamy chirurga, czy internistę znajduję się, powiedzmy, w kłopotach finansowych — to spotkamy się natychmiast z pełnym niedowierzaniem uśmiechem. Coś z tego starego zestawu wyobrażeń o wygodnictwie i materialnej sielance tkwi po dziś dzień. Przetlumaczmy na zrozumiałe język osobliwe pojęcie uczciwości lekarskiej. Tej uczciwości, o której z taką rozgwałką opowiada się w atmosferze zakurzonych saloników z plusowymi kanapami. „Uczciwy lekarz” — zdaniem tych najbardziej zaskorupałych w swoich

rze poznali wszystkie trudności swojego zawodu, może powiedzieć, że walka ze starym typem lekarza-groszoreba jest dzisiaj walką z wiatrakami. Ze nie takich lekarzy spotyka się w poradniach zdrowia, w przychodniach, w szpitalach i laboratoriach. Niekiedy może powiedzieć z przysłowiem o publicznej bzdurce przefalcowanej z cudzego odródka. Bo w rzeczywistości jest inaczej.

A jednak walka taka musi trwać. Musi wybiecć coraz bardziej ostre formy. Liczymy na młodą kadnię lekarzy. Na tych, którzy już opuścili, albo dopiero opuszczają uczelnie medyczne. Dla tych ludzi bardzo często sprawa praktycznej, codziennych zawodowych obowiązków jest jeszcze czymś przetrząwiającym nieznaniem. Jest jakaś zła fikcja. Właśnie ci młodzi ludzie pielęgnują marzenia o gabinetach i poczekalniach z dywanami. Właśnie ci ludzie ulegają najwięcej rozczarowaniom. Akademie medyczne są przepelnione na początku akademickiego roku setkami kandydatów, którym marzy się pyszna kariera. Później bankruta mydlana przyska. Pozostaje bardzo często nieprzyjemna rzeczywistość. Młody student medycyny spotyka-

Tutaj przydałoby się kilka cyfr. Ale przede wszystkim przydałoby się jakaś nowa skala potrzeb. W jednej kawiarni (jeżeli to jest mała, niezbyt reprezentacyjna kawiarnia) w ciągu tygodnia przewinie się kilkaset osób. W takim samym pomieszczeniu mogłoby się znajdować kilku chorych. Ale przecież to jest rachunek fałszywy. Zresztą przykład kawiarni jest tutaj tylko pretekstem. Niech się pan przyjrzy pracy lekarza, pracy całego pomocniczego personelu, niech pan to przeliczy choćby na wartość zarabianych przez lekarzy pieniędzy i niech pan ten rachunek zestawie ze sprawą czyjegoś zdrowia, czy nawet czyjegoś życia. Tu tkwi oczywisty błąd. Błąd w planowaniu.

Krepy mężczyzna wyciąga nowego papierosa. Przez chwilę milczy. Później, na pytanie, dlaczego mówi o tych sprawach właśnie on — społecznik (stary, zasłużony działacz), człowiek, którego obdarzono dostatecznym zaufaniem (wchodzi w skład Komisji Zdrowia przy Stołecznej Radzie Narodowej) — odpowiada gwałtownie głowę. Jest zły. Po prostu zły. Teraz wiem, że zorna nonszalancja, którą zaobserwowałem na początku rozmowy w zaciśniętym pokoju była tylko złudzeniem. Widać, że takie sprawy, jak na przykład sprawa kawiarniarnych inwestycji, leżą mu na sercu.

— No to co, że jestem?...

Dowiaduję się następnych ciekawych szczegółów. Wydział Zdrowia Stołecznej Rady Narodowej zorganizował swego czasu przejażdżkę po szpitalach warszawskich dla radnych z Komisji Zdrowia. Niby po to, żeby przypomnieć co trzeba zrobić dla podniesienia poziomu lecznictwa zamkniętego w stolicy konieczne i szybkie. Owszem. Zaproszono nawet wyściekłe na teren budowy nowego szpitala na Bielanych. Potem wysłuchano uwag wycieczkowców. Kiwnano poważnie głowami i ścisłano ręce. Kredytów nie było. Były interwencje. Zresztą lekarze mają bardzo dużo roboty. Aż za dużo, że by tracić czas na bezcelowe i bezskuteczne pogaduszki.

ZWIERZAK I AUTOMATY



Scena z „Pluskwy” — W. Majakowski wystawionej w Państw. Teatrze im. Stefana Zeromskiego Kielce — Radom. Fot. St. Dukiewicz

GDYBY nie zapowiedz premiery „Pluskwy” Majakowskiego w Łodzi i Krakowie, zapewne celem wielu wypraw teatralnych stałyby się na drugi czas Kielce. Amplitny, w ciężkich warunkach pracujący teatr im. Stefana Zeromskiego (obejmując swoją działalnością również odległy o 80 km. Radom) może się poszczycić nie tylko śmiałościami osiągnięciami i zamierzeniami repertuarowymi (np. wkrótce ujrzymy tu przez długi czas niegranej na naszych scenach Giraudoux), ale również śmiałości i zamierzeniami inscenizacyjnymi. Premiera „Pluskwy”, której inscenizacja wywołała dość żywą polemikę, jest tego dowodem. Oboje walorów ściśle reżysero- warsztatowej szczególnej cenną choć najbardziej dyskusyjną cechą tego przedstawienia jest dążenie reżysera do zaktualizowania zawartej w utworze problematyki, a także do wydobycia ze sztuki tkwiących w podtekście pobocznych, ale ważnych, a dotąd nieuwydatnionych treści publicystycznych. Majakowski śiega po konkretne fakty i w oparciu o nie posługując się artystycznym uogólnieniem osiąga polityczny efekt. Jego sztuka i wiersze walczące i propagandowe spełniają rolę przemówienia, chwytliwego hasła, sugestywnego plakatu. Służąc konkretnym, przemijającym zadaniom powzedniego dnia rewolucji sięgają daleko w przyszłość dzięki świetnej znajomości przemyśleń i psychiki człowieka powoli kształtowanego przez nowe warunki ekonomiczne i społeczne. Twórca „Pluskwy” posiada więc pokładę myśli i sporządzeń, które nie wietrzeją wraz z wykonaniem konkretnego zadania, z wygranym jedną bitwą. Dlatego tak podobała się „Laznia” w Łodzi Teatrze Nowym, dlatego tutaj trzeba szukać źródeł aktualności polskiej prapremii „Pluskwy” w Teatrze im. Zeromskiego.

„Problem polega na zdemaskowaniu dzisiejszego mieszczaństwa” — pisze Majakowski o „Pluskwie”. Ta sprawa jest zasadniczym nurtem sztuki. Wagę i aktualność problematyki utworu Majakowskiego powierza fakty społeczne. Tzw. mieszczański styl życia ze swoim wygodnictwem i cynizmem, obłudą moralną, łatwiną intelektualną i daltonizmem estetycznym przeżywa przejściowy okres wzrostu. Daje się to odczuć wyraźnie w dziedzinie kultury. Przeżywamy okres, w którym kultura socjalistyczna istnieje wciąż jeszcze w sferze niezrealizowanych dążeń, w gorącej atmosferze dyskusji, w chaosie nieporozumień. Zdaliśmy dokonać rzeczy bardzo ważne — obudziliśmy i spotęgować głód kultury wśród środowisk dotąd pod tym względem upośledzonych. Zjawisko to, konieczne i optymistyczne, niesie z sobą jednak poważne niebezpieczeństwo. Nie możemy, nie umiemy bowiem jeszcze tego głodu zaspokoić. Przyczyny są powszechnie znane, pisze się o nich i dyskutuje. Wiemy doskonale również, że przez jedno dziesięciolecie nie podoba nam się dokonać skoku do nowej epoki w kulturze, tak jak nie podoba nam w tym krótkim okresie czasu zakończyć budowy socjalizmu i w innych dziedzinach życia społecznego. Gorzej, że proces tworzenia kultury socjalistycznej wciąż nie nadąga za innymi wielkimi przemianami zachodzącymi w naszym kraju. Stąd olbrzymie wyrwy, przez które widzianą jest stare, przezwyjęte pozornie wzorce kulturalne, dlatego nie straciło nie na aktualności niebezpieczeństwo rozrastania się rekwizytów tzw. kultury mieszczańskiej. Awans społeczny łączy się u człowieka zawsze z pojęciem lepszego warunków egzystencji materialnej, a także z przebudzeniem tęsknot kulturalnych. Trudność polega na tym, by dążenia te były skierowane we

właściwym kierunku, by głód nie był oszukiwany namiastką czy truclizną. Stąd upowszechnienie kultury to również walka z mieszczańską szmirą, często podszywaną się pod pojęcie realizmu. Podobną walkę toczył i Majakowski, podobne problemy znajdujemy i w jego sztuce. Przyznając oczywisty błąd człowieka do własnych wzruszeń i przeżyć, do możliwie dobrej materialnie egzystencji, nie oznacza propagowania egoizmu, izolowania się od spraw wspólnych dla całego społeczeństwa za firankę i okienko z pelargonią, z którego tak kpi Majakowski.

„Myślisz, że mi się podoba ten smród i głód? — mówi autor ustami ślusarza. — Nie. Nas, widzisz, jest dużo. Dla wszystkich nie starczyłoby nepowskich córeczek. Pobudujemy domy i ruszymy od razu. Od razu wszyscy. Ale my z tej nory okopów nie wyjdziemy z białymi flagami”. Tutaj tkwi i dziś aktualne zadanie stworzenia podstaw egzystencji dla wszystkich ludzi. Jeśli jeszcze nie mogą ruszyć wszyscy od razu, to nie znaczy, by tolerować urządzenie się w rewolucji Prisiplkinów i Bajaków. Prisiplkin odchodzi od swoich towarzyszy, zdradza swoją klasę społeczną nie tylko dla wygodniejszego życia. Pociąga go pozorna wyższość kulturalna nowego otoczenia. Oledruki i gitara, fokstrot i lakierki — czyżby więc aspiracje kulturalne robotników prowadziły ich poprzez pluszowe kanapki drobniomieszczańskie, w których ta: błogo gnieźdzą się pluskwy? Jesteśmy świadkami słabo być może notowanego przez publicystykę procesu zacierania się różnic klasowych. Występują tu powoli zarówno w ekonomicznej, jak i kulturalnej dziedzinie naszej egzystencji, lecz nie może przecież oznaczać zniwelowania dążeń przeciętnej rodziny robotniczej do ideału mieszczańskiego stylu życia. Dlatego chuligaństwo i chamstwo Prisiplkina oraz rodzaj jego „estetycznych tęsknot” włączyć z sobą ściśle, określając umysłowo i kształt moralny tej postaci, która w przedstawieniu nie została właściwie potraktowana. Prisiplkin pokazany na scenie kieleckiej to już wytwór drobniomieszczańskiego środowiska, a nie deklaryujący się robotnik. Ponadto pozabawiono go brutalnej chamkości, nie wykorzystano dostatecznie sceny z Bierozką w obrazie pierwszym, by podkreślić też właśnie bezwzględnie brutalność. Prisiplkin w interpretacji Tokarskiego jest wacej materialem na ruchliwego cwaniaka-fryzjerskiego; w pierwszej i w drugiej części przedstawienia bardziej rozmięszta, niż przeraża. Zadyktował o tym reżyser, który podobnie zresztą ustawił dublującego tę postać Z. Zarembę.

W DRUGIEJ części sztuki przenosi nas Majakowski w świat przyszłości — w okres, który ma naśladować po symbolicznych dziesięciu pięciolatkach. Czas, w którym nie będzie przedziałów narodowych i klasowych, zostaną unicestwione wojny a wspaniale osiągnięcia wiedzy i techniki ułatwią życie ludziom i zlikwidują odciski na dłoń robotników. Tę wysterylizowaną epokę Instytutów Wskrzeszenia Ludzi i mechanicznych drzew rodzających na zamiwienie gruszek lub mandarynek potraktował Majakowski satyrycznie. Satyrę tę jeszcze bardziej uja-

skrawił teatr, uczynił ją tak sugestywną, że przesłaniała chwilami centralny problem sztuki — sprawę pluskwy i Prisiplkina. Za to właśnie zaatakowano inscenizatora i w audycji radiowej, i na łamach „Przebiegu Kulturalnego”.

Zanim nawiążę jeszcze do tych zarzutów, warto by przypomnieć dość oczywisty wynikający z tekstu wniosek. Autor nie rozprawa się z rzeczywistością społeczną epoki komunizmu — nie widzi społeczeństwa przyszłości jest to przedmiotem satyry. Dlatego słusznie stwierdza Stefan Treugutt, że w drugiej części utworu nie możemy mieć do czynienia z atakiem na ideały przyszłości, bo skrzywiłaby się wtedy zasadnicza linia ideowa sztuki. Cała sprawa polega na tym, że jeśli chodzi o ideowo — dydaktyczne pokłady utworu, to w ogóle nie można tu mówić o jakiejś konkretnej wizji przyszłości. Dowodzą tego założenia i stwierdzenia przez autora feeryczność sztuki, ciągłe sięganie po satyrycznie celną przenośnię, a także groteskowość sytuacji i postaci tak zabawnie pokazana w przedstawieniu. Zamiarem pisarza w części drugiej „Pluskwy” była nie tylko dalsza, jeszcze bardziej jaskrawa demaskacja mieszczaństwa i jego zarazyliwosci społecznej na tle obcego mu otoczenia — jak pisze Treugutt. Majakowski pokazał tu bowiem nonsens jednostronnego wychowania człowieka przez pozabawienie go wszelkich wzruszeń, przeżyć i namiętności. Wystarczy jeden Prisiplkin, aby zakaził pijanństwem, tępotą setki ludzi pięknej epoki pozabawionej wojen i cierpień, ale niestety uwolnionej od wzruszeń barzdziej ludzkiej i bynajmniej nie groźniejszej powszechnemu ludowi społecznemu.

Staly rozwój techniki, konieczny dla zapewnienia postępu, usunięcia nędzy i wynikającego z niej zła, nie rozwiązuje trudnych problemów etycznych i kulturalnych. Człowiek zawsze staje przed ewentualnością wyboru i najwłaźniejsze jest, by wybrał świadomie dobro. Dlatego atakowanie bezdusznego automatyzmu, maszynizacji życia społecznego i indywidualnego było — mam wrażenie — nie tylko założeniem reżysera Teatru w Kielcach, ale również i Majakowskiego. Oczywiście główny nurt sztuki stanowi rozprawa z mieszczaństwem, ale przecież inscenizator ma prawo wydobyc w nurtu poboczne utwory, jego tendencje, które uważa również za aktualne. Bezduśne traktowanie osobliwych przeżyć człowieka, burokracizm, który nie polega przecież tylko na lawinie piórek i uprzykrzeniu życia bliźnim, „mehaniczyczne” traktowanie i rozwiązywanie trudnych problemów sztuki — dlatego to wszystko, co stało się wyraźnym celem ataków publicznych, nie miały być piętnowane ze sceny?

Irena Byrska przedstawiła ludzi z 1979 r. jako poczciwe automaty, którym oszczędzono walk wewnętrzną, rozterek i cierpień. Dla tych ludzi nie istnieją trudne problemy moralne, sfera ich wzruszeń i przeżyć estetycznych jest uregulowana, podobnie jak i rozsądnie na całe życie rozłożone przeżycia erotyczne. Są tylko po ludzku przyjaźni, ciekawymi, wrażliwi na wyskandowany rytm muzyki. Pozostawione przez inscenizatora ciekawości i zainteresowanie się nieszczęśliwym dla nich zawiaskiem — to jedna z niewielu cech przyciągająca widzów, że te

dziwne czelkkształtne i rozumne stworzy to nie przybysze z innej planety, lecz ludzie wyrosli na ziemi. Brak im pasji tworzenia i poznania, mogą ich naukowców wypelniony jest tylko matematyczną formułą — brak im wszelkiego wzruszenia towarzyszącego wybitnym odkryciom. Wyjątek stanowi dyrektor ZOO (może przez swoje obcowanie ze zwierzętami), dlatego jemu pozwała inscenizator pokazać na chwilę prawdziwie ludzką twarz. Oczywiście stosując dokładną analizę tekstu i przedstawienia można by wskazać na znaczne rozbieżności, a także i pewne niekonsekwencje. Ale przecież właśnie tekst roi się od owych pozornych niekonsekwencji, sięgając poza drobny szczegół realizacyjny, by tym skuteczniej przestawił się realizmem wielkiej metafory i celnym uderzeniem satyrycznym.

Cały spór o „Pluskwę” na scenie Teatru Kieleckiego wynika z jeszcze jednego nieporozumienia. Oczywiście, Prisiplkin nie może być nawet mimo woli i obiektywnie ofiarą. Czyż więc zanotowany przez Treugutta odruch współczucia widza dla tego jedyne „odmrożone” człowieka wśród automatów, krzyczącego z przerażenia „automaton”, „automatony”, ma swoje pokrycie w tekście? Taka reakcja mija się oczywiście z tendencją autora. Albo więc, jak twierdzą dyskutanci, ludzie przyszłości zostali zarysowani fałszywie, albo — i ten zarzut wydaje mi się słuszniejszy — błąd tkwi w niepełnym zarysowaniu przez reżysera postaci Prisiplkina. Prisiplkin staje się tu znów bezadzielnym durniłem utrzonym wspomnieniami fałszywego błichtu, pijaczyną, sentymentalnym głupeksem zabląkanym w niezrozumiałą dłań rzeczywistość. Ostatecznie zalany bałwan może wzbudzić odruch połączony z protestem przeciw własnowolnemu poniżeniu się człowieczeństwa, ale przecież nie tu tkwi sens sztuki. Odczołowienie ludzi przyszłości rzeczywisty wywołuje protest, ale musi mu towarzyszyć wielokrotnie bardziej wstrząsające odczołowienie od-

mrożonego renegata swojej klasy. Nieszkodliwe, ba, nawet szlachetne automaty i groźne będą — w takim zestawieniu problem sztuki mógłby właściwie funkcjonować.

Przedstawienie „Pluskwy” w Teatrze im. Zeromskiego cechuje obok śmiałości inscenizacyjnej świetna robota reżyserka. Całość spektaklu organizowana jest przez swobodny rytm, rozpadający się na dwie części zgodne z podziałem fabularnym utworu. Czynnikami doskonale konstruującymi całość, świetnie podbudowującym atmosferę staje się muzyka Stefana Kisielewskiego. W pierwszej części wrzeszczący fokstrott doskonale charakteryzuje hałaśliwą tępotę światka, w którym pogrążył się Prisiplkin, w drugiej „zmechanizowany” taniec-marsz zaznacza nie tylko odmiennie nowych sytuacji scenicznych, ale także doskonale współdziała z inscenizacyjno-plastyczną koncepcją „nowego wspaniałego świata”. Ta ilustracja muzyczna na podobnych, choć różne praktykowanych motywach przewodnich dyskretnie wiąże całość sztuki. Podobnie zresztą scenografia, a przede wszystkim kostiumy podkreślały aluzyjność utworu zbliżając w pierwszej części przedstawienia tułowia „strasznych mieszczań” do odłuku pluskwy, w drugiej zaś sylwetki ludzi z 1979 r. do wizji ożywionych automatów. Precyzyjne współgranie tych ważnych elementów przedstawienia z prawdziwie zespoloną grą aktorów sprawia, że robi ono wrażenie bardzo zwartej i reżysero-przemysłowej całości. Sztuka Majakowskiego wymaga dobrej gry aktorów, tak jak i śmiałej koncepcji inscenizatorskiej. A te cechy posiadało przedstawienie kieleckie. Oczekujemy dalszych inscenizacji „Pluskwy”, żywić nadzieje, że w ten sposób dyskusja na temat polskiej prapremii tej sztuki przeniesie się na deskę sceniczne,

Państwowy Teatr im. Stefana Zeromskiego Kielce — Radom. Włodzisław Majakowski: „Pluskwa”, przekład Seweryna Pollika, inscenizacja i reżyseria — Irena Byrska. Muzyka — Stefan Kisielewski, scenografia — L. Jankowska i H. Tośa.

JAK ŻYĆ?

(Dokończenie ze str. 3)

W CZASIE okupacji studiowałam pod kierunkiem Karola Irzykowskiego znakomitą rozprawę Sprangera „Die Lebensformen” — rzecz o postaciach życia, o jego stylach i możliwościach, czyli o tym, w jaki sposób żyć można i co tu na ziemi mamy do wyboru.

Spranger dowodził, że jeżeli treścią czyszego istnienia jest szukanie prawdy, to życie staje się aktem poznawczym. Polega ono z jednej strony na szukaniu stałych praw i koniecznych związków między zjawiskami, a z drugiej na potęgowaniu i wyzwalaniu coraz większych zasobów energii w służbie potrzeb społeczeństwa.

Ktoś jednak może zastąpić się wyłączenie na coraz pełniejsze doznawanie piękna i przy tej sposobności — w dość luźnym związku z omawianą tu tezą Sprangera — należy zdać sprawę z istotnych funkcji kultury. Kultura istnieje po to, abyśmy mogli żyć wiele razy, przyswajając sobie duchowy dorobek ludzkości. Jedynie wówczas historia kilku tysięcy lat staje się naszym udziałem.

Z chwilą, kiedy ją w siebie wcielamy, pokonane zostają granice czasu i przestrzeni. Ta skłonność do bezustannego uwielokrotniania egzystencji własnej, jest czymś najbardziej istotnym. Właściwością natury naszej jest, że nie chce ona i nie potrafi poprzestać na kręgu osobistych doznań. Intensywność życia zależy od zdolności wczuwania się w coraz nową sytuację, uczucia i konfliktu ludzkie. Cechują nas wola ustawicznego przekraczania granic samowiedzy — nienasycona chłonność asymilacyjna. W kulturze widzimy najbardziej wyrazistą formę współżycia żywych i umarłych. Potwierdza ona prawo zachowania energii i ciągłości jej krążenia w bycie. Jedynie w tym wymiarze przemijające wzruszenie utrwala się i ustokrotnia, odywa się nowo w milionach. Wmagający się ciągle dół duchowych zdobyczy stanowią elementarny warunek rozwoju. Z tego punktu widzenia obchodz nas przede wszystkim człowiek zdolny otworzyć w swym wnętrzu dziedzię przemian świata. Literatura będąca narzędziem potęgowania życia wewnętrznego staje się w tym ujęciu niewyczerpanym zbiornikiem psychicznej energii. Wzruszenia są siłami poruszającymi masę.

Doznając świata przez pryzmat kultury, człowiek pragnie wyczerpać cały zasób jego trwania, to znaczy: ucałować przeszłość i przyszłość obecną w świadomości własnej. Wiedzieć i przewidywać — to jest najważniejsze. Cały nasz byt demaga się uzupelnienia i spotęgowania w sferze. Presja, jaką rzeczy na nas wywierają, jest czymś zagadkowym. Z punktu widzenia estetycznego mamy do czynienia z rzeczywistością ożywioną pragnieniem wyrazu. Zjawiska otaczające bezustannie atakują wyobraźnię. Świat chce być wypowiedziany, dlatego wzniewa w nas wielki niepokój, niedający się nigdy ugasić. Artysta podważa to, co widzi.

Sztuka pozbawia czas władzy niszczenia. Widzimy w niej formę samobrony przed śmiercią i ostatecznym rozkładem. Kultura słusznie uchodzi za świecką odmianę wieczności. Wola uniknięcia niewęszych

przemian każe nam wznosić się ponad biologię. Twórczość nie jest dziełem naszych pierwszych potrzeb. Nie powstaje pod presją instyktów samozachowawczych. Wykraczając poza granice roślinno-zwierzęcej węgietacji artysta przestaje jak gdyby ulegać prawom codziennej walki o byt determinującym go niemal bez reszty na niższym szczeblu istnienia.

Powróćmy teraz do książki Sprangera. Wie on, że życie może być aktem zachwyty, a powinno być aktem poznawczym i sposobem pogonawiania wszystkich ludzkich i przyrodniczych energii. Jest przekonany, że nie ma wielkiej kultury bez coraz bardziej sprawniej ekonomicznej, że funkcje są organicznie sprzężone, nie mogą istnieć osobno, warunkują się bowiem wzajemnie. Stąd też typ dziaacza gospodarczego, który bezustannie spiętrza i udoskonala stałe wzmagający się proces wydajnej i wartościowej produkcji — ten typ, powtarzam, starannie wyodrębniony i zwarty, znajduje się dziś w środku naszych zainteresowań, a na pytanie: jak żyć — odpowiada: wytwarzaj jak najwięcej dobrych i potrzebnych rzeczy i na tej drodze skutecznie zwalczaj cierpienie zrodzone na skutek ich braku. Tak, to brzmi nareszcie realnie. Lecz nie każdemu wystarcza. Sam Spranger zresztą odróżnia postawę społeczną od poznawczej, gospodarczej i estetycznej. Dla niego miłość to przede wszystkim więź zespalaająca i to chyba jest najważniejsze. Wiadomo, że ograniczona wspólnota powstaje dzięki umiłowaniu określonej hierarchii wartości. Trzeba coś wspólnie wielbić, aby się móc naprawdę zrozumieć i poznać. Dlatego religia nigdy nie przestanie być siłą wiążącą. Ona najgłębiej zbliża i zespala. Jedynie dzięki aktom afirmacji i aprobaty wspólnej uznanej dobra stajemy się organizmem zbiorowym.

Takie notatki porobiłem kiedyś czytając książkę Sprangera z Pietrzakiem i Irzykowskim.

* Alfred Gerard

Pietrzak postawił pytanie: jak żyć. Procs wartościowania różnych stylów życia zdaje się być największą ambicją jego książki, a nakazem i zobowiązaniem dla nas.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartałna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-80-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wkleśnodrukowe RSW „Prasa” W-wa Marszałkowska 3/5. Zam. nr 283 B-7-22465

Z Akropolu i młodości

(Dokończenie ze str. 5)

wieka starożytnego, ulegając po drodze najróżniejszym wrażeńom, uczuciom, myślom i ideom.

W „Mitologii” zawarł początkującą pisarz całą swoją młodościową wiedzę o starożytnym olimpie. Jego erudycja wszakże zdobyła w najszlachetniejszym pietyzmie szczegółowo uczylnia z tej książki rzecz małostrawną, naszpikowaną nazwiskami, związkami i pokrewieństwami. Treściwa narracja wyżyta prawie całkowicie opisowości i refleksyjnego komentarza przeraża się chwilami w przypowieść o substancji metaforycznej nie zawsze czytelnikowi dostępczej. Czyta się ją często z poczuciem niedostatku rozumienia sensu właściwego, denerwującą się zęganą się po powierzeni.

Od mitologicznych powieści przedzie Parandowski do artystycznego repertażu z podróży w grecką wioskę, by poprzez najróżniejsze odmiany eseju ciężkiego ku opowiadaniu („Trzy znaki zodiaku”) lub powieści („Dysk olimpijski”) dojeżdż do urzekającej swym wykwintem „Gdzińny sroczimnomorskiej”.

W całym piśmie tej twórczości naucejają się dwa zasadnicze punkty widzenia:

1. Pierwszy: to naczelna idea młodości do starożytnego świata. Drugi: intelektualne dążenie do wytopienia „młowych sługów” posiadających ciągliwość kultury europejskiej.

Pewne statyczne, zdawałoby się, motywy nabierają niekiedy poręką Parandowskiego znamion na wskroś dynamicznych. Całe szkice oparte na założeniu ciągłości kultury przyjmują w postaci tych motywów dynamiczną o kompozy-

cyjną. „Sług młowy” będzie w tym zakresie najtrafniejszym przykładem.

Jak dalece zaś jest ta rzecz u Parandowskiego cechą nie przypadkową, świadczy najbardziej koncepcja budowy „Trzech znaków zodiaku”, gdzie cały zbiór jest przede wszystkim chronologicznym pochodem wieków od pałaców kultury egejskiej po wsparcia na kolumnach kopule oibliczki Ossolińskich. Nie jest to wszakże rewia duchów. Słychać tętno przesuujących się ludzi. Elynie w nich ta sama krew, co ożywiała zmęczone zapasami mięśnie, i ta, co syciła członki siłą konieczną do zdobycia wieńca sławy na stadionie 70 igrzysk w Olimpi („Dysk olimpijski”). Parandowski pokazał na nich nie tylko sport starożytny. W Sztajnie i towarzyszących zarzysował pełny kształt człowieka złozonego z mięśni i woli zwycięstwa — ale także niepokojów, zakłamań i płaskości. Pedobny Ludwikowi Kubali z Ossolineum pochylarozumu nad dokumentami wieków i ludzi, „wyprowadzał na wierzch prawdę, pokrytą mchem niepamięci”. Pośród tych zabiegów nie mógł zerwać się promost myśli łączący obecne lata z dawnymi. Stąd w rozważaniach Lukullusa z przyjaciółmi powstanie wątpliwość, czy ludzie przyszłych wieków będą pamiętać o ich rycerskich losach, czy przypadkiem pamięć nie ograniczy się do czereśni, której postać właśnie Lukullus pierwsi przywoził do Europy z Azji i zasadił w swoim ogrodzie: „Myślny wojawali krwią i żelazem. To znaczy: gniewem i namiętnością. Półki w ludziach będą te same gniewy i namiętności, które nas prowadziły do boju, będą się na nas powcylowały. A gdy staną się im obojętne królestwa Partów i groźby jakichś rzeźbińków mor-

skich, z trudem zrozumieją, o cośmy walczyli i czego chcieli”.

Historia u Parandowskiego zawieszona jest bowiem nie na koronach królewskich, statutach, księgach i odniesieniach przez wodzów zwycięstwach, lecz jest pasmem myśli rozpiętej między człowiekiem współczesnym a jego starożytnym czy średniowiecznym przodkiem („Rozmowa z cieniem”). Wszystkie prawdy historyczne oglądane są przez autora w perspektywie dnia współczesnego. Stąd też w rozmowie o starych monetach wychodzą z ust numizmatyka takie słowa: „A widzi pan! Im gorzej się dzieje, tym wspanialsze i bardziej pokrzepiające slogany wybijały na tych krążkach metalu”.

Z tego samego ducha krytycyzmu urodził się dialog Cicerona z Cezarem, gdy ich cienie spotkały się wśród gwiazd. W ten sposób Parandowski próbuje poprawy wielkiego tekstu historii, przy czym walczy w nim często szlachetnie miłobę prawdy ze szlachetną miłobędą tradycji.

Bo do tradycji przywiązany jest jak nikt inny. Mimo całego intelektualizmu, jaki promieniuje z tej twórczości, często ujawnia się jako zaślepiency cześciel antyku, cześciel, dla którego „szybtek z dawnych czasów więcej jest wart przez moment wzruszenia (mimo wszystko) niż jako dokument”.

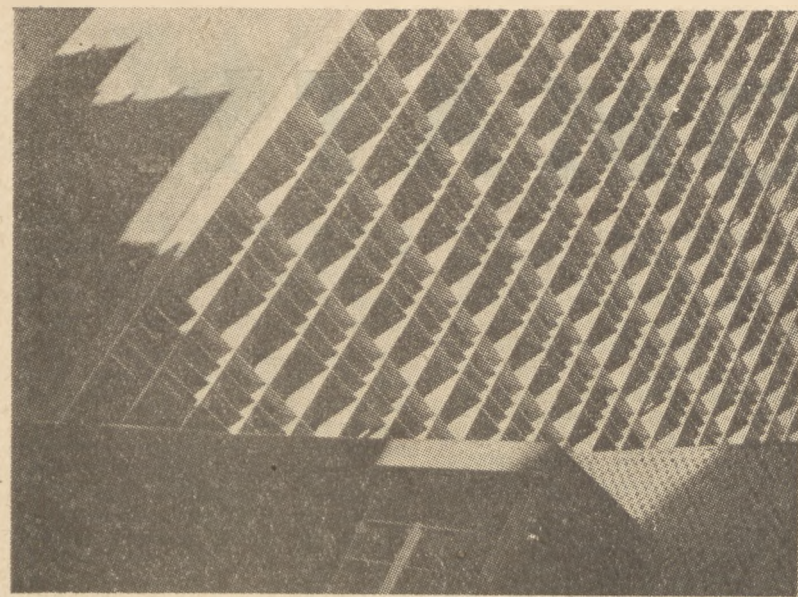
Parandowski w swych piarskich zainteresowaniach jest dziś chyba najbardziej europejski z naszych pisarzy i dla Europy najbardziej zrozumiały: — Przez szerokie spojrzenie na kulturę i przez bezinteresowną służbę idei piękna. To najwyższe odznaczenie powszechnie przyznawane autorowi „Alchemii”

może być wszakże rozumiane i jako przysłana. Czyżby, jak bohater „Godziny sroczimnomorskiej”, miał być postawiony pod zarzutem Korsarza, że nie pływał pod banderą swojej ojczyzny goniąc za zdobyczą wódz nowych prowincji piękna?

Przeżył temu ta część twórczości, w której z pietyzmem pokazał skrawek polskiego życia, i ta część, w której kulturę narodową najsilniej zespalał z europejską myślą. Warto przypomnieć fragment „Rozmowy z cieniem”, kiedy Piotr wypowiedział przed Horacym słowa następujące: „Nigdy poezja nie znalazła takiej pełni życia. A znalazł się kraj, który z niej uczynił koronę swej sławy. Koroną z cierni i lilij. Nie miał wtedy innych koron, nie miał nic z tego, co wy, za czasów waszego imperium, przyznałaście nawet dzikim szczepom na kresach świata. Poezja w tym kraju przeżyła wszystko, co przeżyła naród w niewoli: ból, lęk, nienuwiść, nadzieję. Uczyniła więcej: świeże zdarzenia, wilgotne jeszcze od rzeczywistości jak korzenie rośliny wyrwanej z ziemi, zdawałoby się drobne w obszarze życia wielkiego narodu, zaklęła w dramacie, którego nie przeczwała Aischylos, i siłą natchnienia, rozległością myśli podniosła je do wyżyn mitu. Słowiżyła swemu narodowi nową historię, piękniejszą, wspanialszą, a może i prawdziwszą od rzeczywistej i odsoniła przyszłość tak wielką, jaką da się osiągnąć tylko marzeniem”.

Tak pisał o romantycznej epoce literatury polskiej nie potrafił człowiek, dla którego sprawą narodu mogą być na chwilę stanąć w perspektywie rzeczy obojętne.

Jerzy Kolątaj



Ministerstwo komunikacji w Rio de Janeiro — architekci: Niemeyer — Le Corbusier

NABARDZIEJ nienaturalną cechą młodych jest sceptycyzm. Mam na myśli sceptycyzm artystyczny. Ostatnie lata bardzo przychylnie się do jego rozwinięcia, do jego rozkwitu. Pojęcie sztuki stało się nie solidną budową, ale wózkim na kółkach przetraczanym co pewien czas w odpowiednim kierunku. Sztuka utraciła swoją rzetelność, swoją powagę — zrobiono z niej wędrowny cyrk, który co pewien czas w różnych miejscowościach daje różne przedstawienia. Tu już źródło częste zniechęcenia, sceptycyzmu i bliży — widocznych u wielu młodych malarzy i architektów.

Pracownia malarzka czy biuro projektów nie mogły wykręcić tego, co jest w sztuce młodych najbardziej cenne — entuzjazmu. Zakłamanie niewolniczo miastoprotokółem mogło — i może w dalszym ciągu — budzić tylko bezsilną wściekłość projektanta. Ta wściekłość przetrza się w zrywanie.

Te wszystkie czynniki rodzące sceptycyzm kształtowały reakcję na zjawiska artystyczne zachodzące poza naszym krajem — zjawiska często rewelacyjne i pasjonujące. Te zjawiska kwitowały nierazko monosylabami. Jak ktoś kręcił się w kierunku biura projektowego i pokazywał mu swobodnie biegającego konia, to albo jeszcze niżej spuszcza łeb, albo udaje, że mu jest świetnie i że uważa tamtego drugiego konia za wariata.

Monosylaby. Tacy ludzie nawet zapomnieli patrzeć. Odczytali się mówić językiem odmiennym od swojego pseudoklasykznego żargonu. Reakcją na fotografię nowego projektu Corbusiera była cała skala monosylab. Nie tych zachwyconych aha, uou. Zupełnie innych: iii, eee, phi — połączone z uśmiechem pełnym politycznego pobłażania i pogardliwym gestem ręki. Ta młodzież artystyczna straciła wiarę w jakiejkolwiek artystyczne przekonania. Zaczęła patrzeć wąsko, sceptycznie, a nawet niekiedy cynicznie. A ponieważ taka negacja jest źródłem zarzeczalstwa — zaczęła patrzeć z pobłażliwą wyższością.

Krytycy monosylabizm jest dziś — przy odmiennej koniunkturze artystycznej — nierazko przyczyną braku obiektywnego spojrzenia na to, co się dzieje poza nami. Albo całkowity entuzjazm, albo całkowita negacja. Całkowity entuzjazm rodzi często plagiat, a całkowita negacja — zawsze zaściankowość.

Błędne koło nowoczesności i tradycji — jeden z największych współczesnych dylematów architektury — to problem, którego nie rozwiąże kopiowanie cudzych wzorów. Raczej pomocna będzie analiza sposobu myślenia, który doprowadził w niektó-

rych krajach do szczytów architekturalnych rezultatów. Jako przykład możemy kraj pod każdym względem różny od naszego — Brazylię. Wierne kopiowanie brazylijskiej architektury byłoby nie tylko ryzykowne, ale śmieszne. A Brazylię jest nie tylko najbardziej dynamicznym obecnie ogniskiem nowoczesnej architektury — ale krajem, który już zdążył wykształcić pewien narodowy charakter budownictwa.

Piszę „już”, bo nowoczesna architektura brazylijska istnieje ściśle od roku 1937. Jest to rok rozpoczęcia budowy gmachu Ministerstwa Edukacji, projektowanego przez grupę rodzimych architektów z Corbusierem jako kierownikiem i konsultantem. Udział Corbusiera był konkretny i zarazem symboliczny. Był określeniem punktu wyjścia młodej brazylijskiej architektury. Oparciem jej o ten gatunek nowoczesnego budownictwa, które wyrastało z tradycji śródziemnomorskiej. Ale Corbusier przekazał tylko swoje wielkie doświadczenie i wiedzę, stworzył mocny fundament, z którego mogła — ale nie musiała — wyrósnąć oryginalna sztuka. Tą podstawą była przede wszystkim współczesna konstrukcja — żelbet i współczesna dyscyplina racjonalnego myślenia — troška o funkcje. To, że Brazylijczycy w ciągu dwudziestu lat rozwoju swojej rodzimej sztuki bezwzględnie bazowali na tych dwóch elementach corbusierowskiej filozofii i potrafil na tej bazie wykształcić świetną formę zarazem odkrywczą jak typową dla ich kraju — jest jeszcze jednym dowodem na uniwersalność nowoczesnych środków konstrukcji i nowoczesnego sposobu myślenia. Budownictwo, które nie chce przetrwać, to jest w szczydercy, godny politowania magazyn muzealnych osobliwości, w architekturze sklepiku jest starzyzna, musi uwzględnić już nie tylko wpły, ale prymat nowoczesnej konstrukcji.

Już pierwszy przełomowy dla Brazylii gmach Ministerstwa Edukacji — nosi cechy wyróżniające go od architektury istniejącej w innych krajach. Pierwszy czynnik — to zastosowanie do klimatu, problem ochrony przed słońcem i wilgocią. Wprowadził Corbusier w swoich projektach dla Barcelony, Tunisu i Algieru przewidywał i rozwiązywał ten problem w postaci tzw. brise-soleil — ochraniających słonecznych — dopiero jednak gmach Ministerstwa daje przykład konkretnego i odkrywczego ich zastosowania. Tu już do głosu dochodzą Brazylijczycy, a przede wszystkim młody (ur. 1907) Niemeyer — i przekształcają ideę mistrza na swój sposób. Śródziemnomorski, łagodny Corbusier, musi

tektury. Zauka jakby wymiotła: całe Caasim Row przyczołaził się w uparty sprzysiężeniu miaczenia. Potem rozlega się znów śpiew nad umarłym, sąsiedzki zbierają datki na jego pogrzeb. A znowu pynie dąle: matki kolyszą dzieci, nieuczyni ubiegają się o względy kobiet, całe przedmieście wybiera się na piknik.

Wiesznie tak potraktowany scenariusz pozwolił ukazać kolorysty i autentyczność atmosfery życia śródziemnego. Co więcej, przy całej swojej prostocie i popularnym ujęciu, obraz ten urastał do wymiaru jakiejś skróconej prawdy o życiu człowieka: prawdy narodzin, miłości i śmierci, życia z jego dążeniem do szczęścia, z radościami i smutkami, z jego dobrem i złem.

Dobrem i złem... Tego ludzkiego i etycznego aspektu „Porgy and Bess” nie należy przeczać. Bez niego ten typ ludowej opery — pomysłowy o polskich „Kwakwiakach i goratach” — traci cały swój charakter i styl.

W dotychczasowych recenzjach trafiały się aluzje do „naturalizmu”, „Porgy and Bess”, dostępnego jakoby w dekoracjach jak w biologicznym rozpa-

niu niektórych scen. Nieporozumienie. Rzekomy naturalizm jest w gruncie rzeczy tylko zagęszczeniem drobnych realiów, niezbędny dla uzyskania pełnej sugestywności, a rzekomy „biologizm” można co najwyżej uznać za refleks temperamentu czarnej rasy. Co do dekoracji, w robocie Wolfganga Rotha, m. in. w szarości jej tonacji berynejskiej, widać wcale wyraźne terminowanie w powiatariackim teatrze Piscatora i Brechta i widać również, że dobra to była nauka, że plastyka dobrze tu służy widokowi.

Raczej przesuwać by można zarzuty w innym kierunku: mówić o melodramatyzmie „Porgy and Bess”, o biało-czarnej charakterystyce postaci (np. Porgy — Sportin Life), a jaśkrawości efektów i kontrastów scenicznych, o niebezpiecznym opanowaniu się o krawędzie naiwności i kiczu... Lecj — dzieło obroni się bodaj — przed tymi zarzutami. Wszystkie te jaśkrawości, melodramatyzm, nawet naiwność — może to tylko kategorie widzenia tamtego ludowego środowiska? Przede wszystkim ka-

SERCE W SŁOŃCU

ulec południowo — amerykańskiej gwałtowności.

Barok portugalski, tak jak barok hiszpański w Meksyku i Gwatemali — w zniknięciu się z gorącym klimatem, z osłupianją bogatą przyrodą i sztuką Indian, która w Mayów i Azteków rozkojana była w bogatym ornamentyce — wybijając jeszcze bardziej, doszedł do krawędziowego momentu architektonicznego zdobniczości. Wnętrza kościołów w Brazylii są nie tyle kąpiące, co obródnione, opuchnięte złotem i płaskorzeźbami, które stają się czytelne wyłącznie jako jakiś rozszalały ornament. Architektura zewnętrzna jest skromniejsza, ale pełna wywniosłości, dumy a nawet pychy. Nie ma tu pompy włoskiego baroku. Barok hiszpański i portugalski jest okrutny, bezwzględnie dominujący. To jest ba-

rok bez włoskiego uśmiechu. Takie budowle jak słynny kościół w Braga w Portugalii, do którego podchodzi się po setkach a nawet tysiącach stopni upstrzonych amfiladą rzeźb — to architektura pełna już nie rozmachu, ale szaleństwa zimnego, wyrachowanego, obliczonego zawsze na efekt.

Rozwój architektury brazylijskiej, którego motorem był przede wszystkim Oskar Niemeyer — jest próbą wniknięcia w przyczyn, w genetykę charakteru rodzimego budownictwa, a nie małpowaniem jego zewnętrznych cech i rekwizytów. To jest bardziej analiza człowieka — mieszkańca Brazylii, analiza jego upodobania. A to, co już obecnie można określić w nowoczesnej architekturze brazylijskiej jako elementy tradycyjne, rodzime — jest tylko sprawdzianem trafności tej „analizy. Jest zresztą rzeczą charakterystyczną, że te elementy można wyodrębnić wyłącznie *post factum*. Nie można ich postuluwać czy z góry przewidzieć. Sztuka potrzebuje czasu i swobody, żeby się narodzić. Historycy mogą w tym czasie łowić ryby.

Nowoczesna architektura Brazylii jest bujna i efektowna, tak jak barok kolonialny, tak jak przyroda. W Brazylii prosty zachód słońca jest orgią, kwiaty mają kolory o niespotykanej intensywności nie pachną, ale szadziej zapachem. Kobiety Brazylii są równie efektowne, równie rozmiłowane w świecidełkach i przesadnym wyperfumowaniu. Ta bujność i ogromny temperament jest pierw-

szym wspólnym mianownikiem życia, przyrody, sztuki.

Architektura Brazylii jest dramatyczna — desperacko odważna, konwulsyjnie żywiołowa. Ta żywiołowość, raptowność daje się najlepiej odczytać z projektów Niemeyera: z kościoła Pampulha ze stadionu, teatru, czy rozbuhanego projektu wystawy w Sao Paulo.

Niemeyer, najwybitniejszy przedstawiciel młodej brazylijskiej sztuki, najlepiej pokazuje instynktowne umiowanie linii krzywej, zaszczepionej przez barok. Ta linia krzywa nie ma nic wspólnego z tzw. secesyjnością, sztuką, stylizowaną pseudo-roślinnością. To jest wrodzona, głęboka potrzeba. Prosty chodnik na bulwarze w Rio projektowany prawdopodobnie jeszcze w zeszłym wieku ma uporczywy wyciąg się spiralny wzór — tu ludzie nie lubią prostych podziałów, nie lubią spokoju. — Nerwy.

Zarówno artyści baroku, jak Indianie, pozostawili w spuście sztuki syntetyczną — architektura nierozdzielnie łączy się z rzeźbą i malarstwem. Na tym polu Brazylijczycy dali pierwsze w nowoczesnej sztuce przykłady doskonałej współpracy.

Jeśli jeszcze sprawa najważniejsza. Architektura nowoczesna nie jest tu martwym problemem, interesującym grono znawców. To problem życia, którym pasjonują się cała ludność. Odywa się gwałtownie słuchastyczni Indian i ich ogromne zdolności na tym polu. Popularne brazy-

lijskie tygodniki poważną część swoich tytułów poświęcają architekturze — nowoczesnej architekturze.

Warunkiem rozkwitu brazylijskiej architektury był raptowny rozwój ekonomiczny w ostatnich latach. Kraj, który posiada tak wielkie bogactwa naturalne, jak Brazylię, zaczął je dopiero eksploatować. Rozwój jest gwałtowny i gorączkowy. Doskonale to widać poprzez architekturę. Miasta zabudowane są chaotycznie, bez jakiegokolwiek myśli urbanistycznej i często zdarza się, że piękny nowoczesny wieżowiec wciśnięty jest w wąskie gardło zapchaney ulicy.

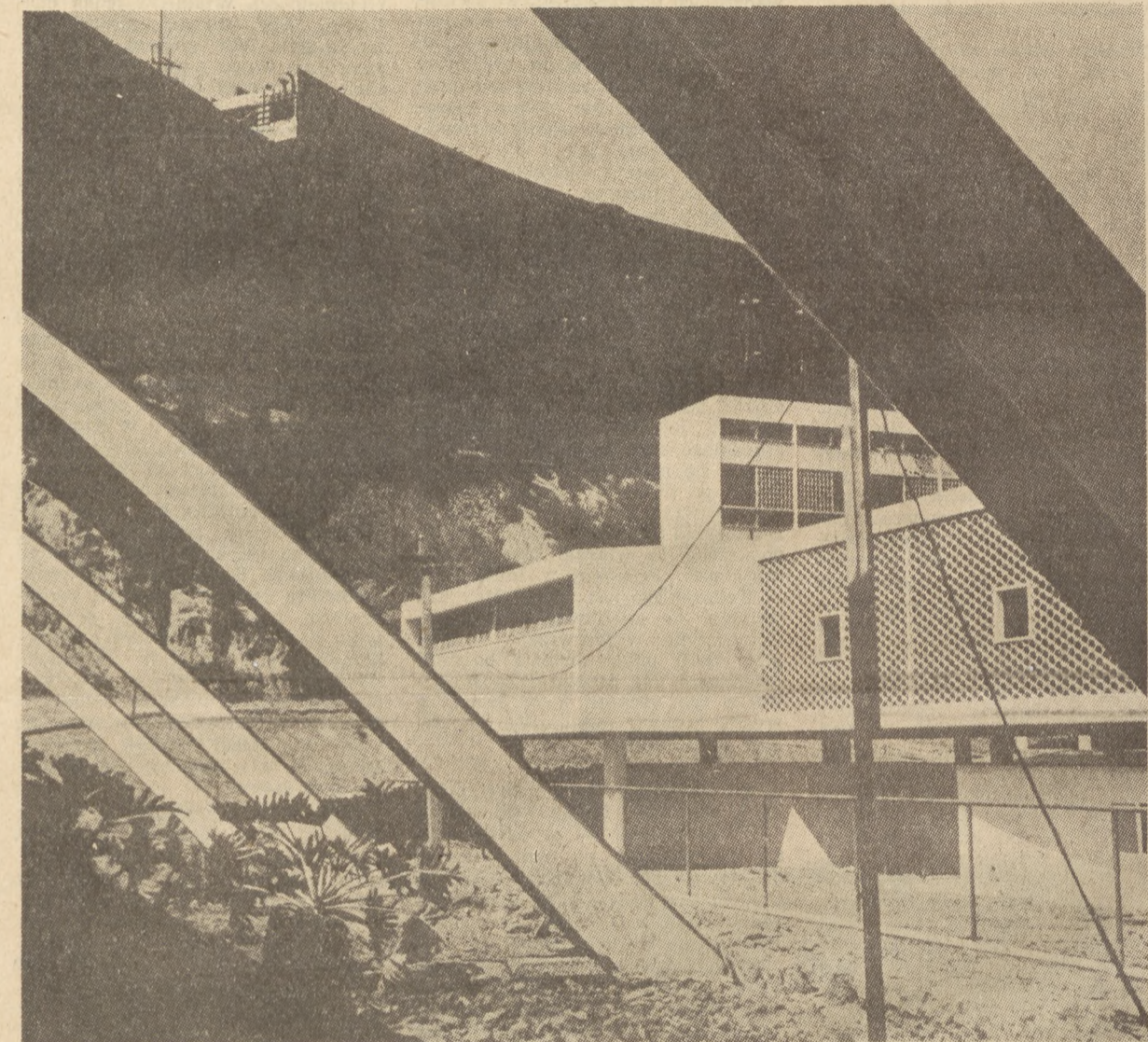
Przykłady bardziej zorganizowanego budownictwa są jeszcze dość nieliczne. — Jednym z takich przykładów na skalę światową jest osiedle mieszkaniowe w Pedregulho — dzielnicy Rio (arch. Reidy). Drugi wielki przykład to kompleks znakomych budynków Niemeyera w Pampulha przedmieście Belo Horizonte. Jest tam kościół, kasy, jacht-klub, hotel — cały zespół obiektów pięknie rozmieszczonych w terenie. Nawiasem mówiąc założenie to powstało w okresie, gdy burmistrzem Belo Horizonte był Kubitschek, obecny prezydent Brazylii. Pan Kubitschek jest entuzjastą nowoczesnej architektury. W Pampulha dochodzą do głosu dalsze cechy narodowe brazylijskiej sztuki: ogromna przestrzeń każdego założenia, zainicjowana przez portugalski barok — organiczne przenikanie się powierzchni przykrytej dachem z otoczeniem, roślinnością, wodą, całym krajobrazem. W tym klimacie jest to nie tylko możliwe, co konieczne. Odywa się ogromna, barokowa fantastyka, odkrywczość i wizjonerstwo.

Architektura brazylijska może bardzo wiele nauczyć — nie tylko jako powierzchnie znana z obrazków efektowna plastycznie, ale wskroś współczesna sztuka. To architektura słońca, którego nie znamy; roślin — których nie mamy; powietrza — którego się nie domyślamy, a nie — psiałość — mrozu.

Uczy, że tradycja to bynajmniej nie powierzchowne kopiowanie. Brazylijczycy mają śliczne zachowanie XVII-wieczne miasto Ouro Preto — taki ichni dziesięciokrotnie większy i oryginalniejszy Kazimierz. Niemeyer zbudował tam nowoczesny hotel, który dzięki mądrej architekturze nie tylko nie kłóci się, ale doskonale harmonizuje z otoczeniem. Sto — i podoba się. A u nas buduje się obskurne domy SARPU, który

Uczy, że funkcjonalizm — naturalnie nie doktrynerski — to bynajmniej nie straszne, wykleśne pojęcie, ale rozsądny przewodnik w wspólnych kłopotach. To jedno z pojęć, które u nas trzeba zrewidować.

Uczy odwagi i odkrywczości formalnej. Uczy inwencji. Uczy, że konstrukcja to dzisiaj prymat. Każdy brazylijski architekt jest dobrym konstruktorem. Każdy nie tylko czuje i rozumie konstrukcję, ale potrafi ją mądrze wykorzystać i pokazać. To jedno może kraj, gdzie wspólna konstrukcja z formą architektoniczną jest kompletna. Po prostu nie ma współpracy — to jest jedność.



Fragment osiedla mieszkalnego w Pedregulho — architekt Reidy

CZY wracac jeszcze do Everyman Opery? Zespołu amerykańskiego uawniżoż Fuisske opuściła, prasa spłaciła mu należną gałunę powołali i zakonicy, a uczony Leczkowicz „Nie było nas, był jasz”. „Luis i Jutro” (i o) Złaził w „Węzły and Bess” nowy, mocny argument w dyskusji o jazzie. Czegoz więcej trzeba? Cioz wyduje się, że właśnie z wypowiedzi Olkiewicza można i należy się sprzeżyć, ten pełen temperamentu i krytyk od pewnego czasu wyraża dozna na w sprawie światowej sztuki osnanej dooty. Nie jestem zapewne jedynym sympatykiem tego cłętego pioru ani lejnym stroniikiem jego rzeczywianie szuszej warki o nowoczesność naszej sztuki i całego naszego życia. Zgaczam się również z Olkiewiczem, że wysypie Everyman Opera byty dla naszych artystow cenna lekcja. Roznibym się z nim jednak, jeśli chodzi o treść tej lekcji, o propozycję problemu. Przede wszystkim są duży opory ogólny ton gorący, gorączkowej wypowiedzi Olkiewicza. Sprawy więc poczynnie napierw nieco uzupełnienie, spojrzmy też na „Porgy and Bess” bardziej od strony lewicowej, na koniec zaś może uda się uławić i rozoznać gw graniczący „ton qui fait la chanson”. Zmianyenny bodaje dla całej działalności krytycznej Jerzego Olkiewicza.

„PORGY AND BESS” — WIDOWISKO LUDOWE

W YCHODZAC z przedstawienia „Porgy and Bess” wluż nadal nie wie, czy był na operze, na „Musical”, dramacie muzycznym, czy na wodewiliu — wie jednak na pewno, że był na znakomitym spektaklu. Jak na właściwą operę, utwór Gershwina jest za mało muzycznie zorganizowany, za wiele w nim dźwiękowej „waty”. Jedność, i to rzadko spotykaną artystyczną jedność, osiąga jako ludowe widowisko, „widowisko z muzyką i śpiewem”.

Sukces Gershwina-kompozytora sprowadza się niemal wyłącznie do inspiracji przez folklor, do niezwykłego wczucia się — m. in. dzięki osobistym terenowym studiom — w ducha murzyńskiej muzyki. Gershwin nie był sam Muzycznym, jego muzyka nie jest też dostojną transkrypcją murzyńskich songów — a jednak ma ona autentyczny dźwięk oryginalny. I Murzynie przyjęli ją jako swoją, murzyński odtwórcy odnieśli w niej ducha swego ludu.

To tego misieśca z grubszą zgadzamy się z Olkiewiczem. Wydaje się natomiast, że nadmierne deprecjacje, on libretto Heywarda. Przecież stało się ono dobrym oparciem dla muzyki, wsparło jej ludową wymowę. W tej słuicie drobnych scenek rozdźwięki mogły przeważać się całej muzyki murzyńskiej. Zaukuca.

PO CO TA LEKCJA?

ARTUR HOFFMAN

rze bezbronne. Wypowiada ono aktywne walkę z tym. Taki jest ludowo-optymistyczny sens „Porgy and Bess”.

O ZESPÓŁOWOSCI

O BOK jednostkowych bohaterów lud jest bowiem niby w dramacie greckim, zbiorowym bohaterem tej opery. Wspiera on działania postaci pozytywne, otacza je swym solidaryzującym się współuczuciem. W walce, jaka toczy się między siłami dobra i zła, wiały i bluznierstwa — np. w scenie „Pikniku — w jego tonie zapadła decyzja. Dziecinny, rozbawiony, wodzący się za łyby, teńczący i modlący się tłum jest właściwym bohaterem spektaklu. I tak to pojął inscenizacja reżyseria Roberta Brenna, najbardziej może uderzający czynnik w występach Everyman Opera. Urzeczony „żywiołem” aktorskim Olkiewicz nie dość chyba docenił kierowniczą

ze znakomicie podrobionego żywiołu, coś z oczywistości samej natury. Jak gdyby nie stało za tym wszystkim konsekwentna i czujna, cały czas stawiąca na dynamiczną zespółowość, swój reżyserski. Wychodząc z ducha jazzu, z rytmu, nieustannie transponowała go ona na ruch, gesty, światło na elementy widowiska.

SKĄD TO POCZUCIE NIZZOŚCI?

A TERAZ od „Porgy and Bess” przechodzę do ogólniejszego problemu jazzu i do właściwego polemiki z Olkiewiczem. Nie trzeba być ani tradycjonalistą w sztuce, ani solidaryzować się z antyjazzowym wypadem St. E. Burego w „Słowie Powozczynie”, aby mimo to wyczuć jakąś fałszywą nutę w artykule „Nie było nas, był jasz”. Nie trudno dostrzec, że Olkiewicz mierzy nazi i oby folklor muzyczny dwoma różnymi miarami.

Kiedy pisze o rodzimej twórczości muzycznej, rodzimych piosenkach i tańcach, organia go nastroj nudy, starzyzny, „bezzbręznego przynębienia”. Nawet skocz-

polka, nie będąca zresztą polskim, tylko czeskim tańcem ludowym, wirująca go w meancholję. Nie pamięta o sukcesach „Mazowsza” i „Śląska”, pamięta jedynie, że „nawładzi próby uwocześnieienia naszych tańców”. Samo określenie „rodzimy” nabiera w jego ustach posmaku lekceważenia.

W jakże innym tonie pisze Olkiewicz o folklorze murzyńsko-amerykańskim i o tym, co z niego wykłata w postaci muzyki jazzowej. Chwali jazz za jego różnorodność i powszechną zrozumiałość. Za to jest „nowoczesny” — ze jest jakby użytkową formą nowoczesnej sztuki”.

Mao tego, jazz „stał się już pewną formą współczesnego życia”. I „ma w dalszym ciągu ogromną przyszłość”. Muzyka taneczna sprzed jazzu jest dla Olkiewicza „absolutnie pretensjonalna i jalo-wa”.

Czy nie ma w pewnym stopniu racji? Ma pewno tak. Razi w tym wypowiedzi co innego: jednostronność, nieprzedsiębiornie, skłonność do absolutyzowania gustu i pojęć. Zauważmy, że dostrzega tylko ewolucję jazzu wzywz jak coraz doskonalszym formam artystycznym, a nie widzi ewolucji odwrotnej. A przecież od religijnych, postugiujących się obrazowaniem Biblii „Spirituals” z okresu nielunolniczego, poprzez melancholijne „Bluesy” (Ragtime) z pierwszych lat po wyzwoleniu, aż po muzykę Nowego Orleanu, nadająca mu nowoczesnemu jazzowi wielkich przemyslowych miast — rozwój muzyki murzyńskiej podlega coraz silniejszym wahanom. W ostatnim, nowoorleańskim etapie obok wzrastającego artyzmu formy mamy też do czynienia z coraz większą komercjalizacją jazzu i nasycaeniem go coraz jednostronnie pierwiastkiem erotycznym. Olkiewicz jakby o tym wszystkim nie wiedział (powoła się zapewne na oryginalny, czysty, „prawdziwy” jazz), jakby chciał wylądzić folklor murzyński spod działalności ogólnych wahań rozwojowych. Dla niego jazz w sobie, jako taki, jazz stoi na pograniczu muzyki poważnej i rozrywkowej. Niezliczone superlutywy, jakim — ze znakiem minus lub plus — posługują się w swym artykule, mają doprowadzić do przesądzenia sprawy: przed potem jazzowym niesposób się utrzyć, hegemonia muzyki murzyńskiej jest nieuchronna, nieodwołalna.

Nie chodzi mi wcale o przeciwstawianie się takiej ewentualnej okresowej hegemonii, ani o wykluczanie jej z góry: w wolnej grze sil artystycznych i tak zwycięży ostatecznie ta, która najlepiej wyraża ducha epoki. Sądzę, że dzieki swej zręczaliozowanej prostocie, uczuciowej powściągliwości oraz silnemu pierwiastkowi kinetyczno-rytmicznemu jazz, to dziecie afrykańskiego folkloru, jest — jakże to paradoksalne — szczególnie bliski nowoczesnej cywilizacji technicznej. Ze swej strony cywilizacja ta oddaje na jego usługi wszystkie środki technicznej techniki: przemysłowy muzyczny, radio, film, telewizja, roznoszą go po całym świecie. Należy zrewidowa-

ście przypuszczać, że jazz będzie nadal silnie oddziaływał na współczesną muzykę zarówno rozrywkową, jak i poważną.

Co więc budzi sprzeciw w wywodach Olkiewicza? To, że wyczuwa się w nich jakby kompleks niszczaki, kompleks polski, a może nawet szerszy, europejskiej prowincji. Tam w dalekim świecie nowoczesność rozkwita najpiękniejszymi kwiatami, a my tutaj grani i tańczymy polki i walcze z „lekkimi kawalerkami”. Czy to nie wesołe! Francuzi szaleją na punkcie Opery Chikńskiej i „Mazowsza”, Amerykanie snobują się na europejskie średnowieże, renesans, rokoko — już nie tylko na nasz wiek XIX — a my absolutnie tenże amerykański jazz jako kwin-tenesuje nowoczesność. Ta absolutyzacja nie ma sensu. Trzeba być ze swego czasu, to jasne. Przemiany cywilizacyjny, techniczne muszą wpływać na nowę sztuki. Ale nowoczesność, to dopiero oczywisty, ale wstępny warunek. Nie sposób też wiązać jej z jednym określeniem, choćby szerokim nurtem sztuki.

Czy folklor polski, rosyjski, skandy-nawski, hiszpański i tyle, tyle innych nie zapłodniły — jak nigdyś folklor włoski i francuski — światowej muzyki? Czy nie owocują nadal w dziełach bezwzględnie nowoczesnych? Nie ma przepisów na nowoczesność; dopiero potonome ocenia naprawdę, jaka sztuka wyraża w pełni swój wiek. Zanim to nie nastąpi, zawsze ważna pozostaje zasada pluralizmu, uniwersalizmu, a nie uniformizmu.

Opera murzyńska Gershwina, będąca już tout court amerykańską operą ludową, stała się zarazem sceniczną demonstracją możliwości artystycznych zawartych w wyrosłym z muzycznego folkloru murzyńskiego jazzie. I tak patrzyliśmy w Polsce na „Porgy and Bess” — jako na wyraz ludowego ducha Ameryki. Uosabiając, jak na całym świecie, najlepsze siły i przyszłość swego narodu, jazzem wnosi on w podarunek światowej kulturze muzycznej kolejną, nową inspirację. Skorzystamy z niej i my, a jaki będzie naprawdę jej zasięg i trwałość, powie przyszłość.

Post scriptum.

W związku z występiami Everyman Opera dyr. Plaza z Gabinetu Ministra K. i S. użnał za stosowne skreślić „Dziś i Jutro” z rozdziałka obejmującego recenzentów. Jak się dowiadujemy, podobny los spotkał dziennik „Słowo Powszechne”. Również dyr. Orlicz z CZW (organizator występów) był mimo naszych kilkakrotnych interwencji zdania, że wśród 12 000 widzów „Porgy and Bess” w Warszawie nie trzeba recenzentów naszych pism. Recenzent tygodnika kulturalnego dostaje się na salę Opery drogą napój nielegalną i zbiera — na przedstawienie występów — wrażenia do recenzji na stojąco. A przed Operą oddaje się spektakularnie biletemi i cena ich dochodzi do 500 zł. Bravo dyrektorzy kultury i sztuki.